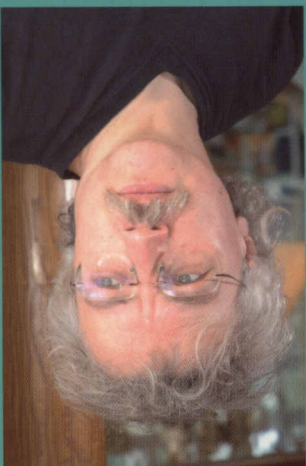


Karl-Markus Gauß Psożercy ze Sviní

SUCCESS
KIDS

STREET SENSITIVE SPORTSWEAR



© Kurt Kaindl

KARL-MARKUS GAUß (1954) — pisarz, eseista, krytyk literacki, wydawca i zarazem redaktor naczelny wychodzącego w Salzburgu dwumiesięcznika „Literatur und Kritik”, współpracuje z pismami „Die Presse”, „Der Standard” i „Die Zeit”. Znacząca środkowoeuropejskich mniejszości narodowych, a także (zapomnianej) literatury Europy Środkowej z czasów monarchii austro-węgierskiej. Autor m.in. *Das Europäische Alphabet* (1997), *Der Mann, der ins Gefrierfach wollte* (1999), *Die sterbenden Europäer* (2001; po polsku ukazał się nakładem naszego wydawnictwa pod tytułem *Umierający Europejczycy* w 2006 roku), *Mit mir, ohne mich. Ein Journal* (2002) i *Von nah, von fern. Ein Jahressbuch* (2003). Laureat wielu nagród, m.in. Austriackiej Nagrody Państwowej w dziedzinie publicystyki kulturalnej (1994), Europejskiej Nagrody im. Charlesa Veillonana w dziedzinie esejistyki (1997) i Nagrody im. Bruna Kreisky'ego (1998). Mieszka i pracuje w Salzburgu.

Karl-Markus Gauß Psożercy ze Sviní

Przełożyła Alicja Buras

wydawnictwo  czarne

Wołowiec 2005

Tytuł oryginału niemieckiego DIE HUNDEESSER VON SVINIA

Projekt okładki i stron tytułowych AGNIESZKA PASIERSKA

Zdjęcie na okładce © by KURT KAIND

Zdjęcie Autora © by KURT KAIND

Copyright © by PAUL ZSOLNAY VERLAG, WIEN, 2004

Copyright © for the Polish edition by WYDAWNICTWO CZARNE, 2005

Copyright © for the Polish translation by ALICJA BURAS, 2005

Redakcja i korekta KRYSTYNA KOZIOL, MONIKA SZNAJDERMAN,

ANDRZEJ STASIUK

Projekt typograficzny ROBERT OLEŚ

Książka została wydana dzięki pomocy finansowej

KulturKontakt, Austria

KULTUR
kontakt
AUSTRIA

ISBN 83-89755-15-7

Tornal'a była tak wyludniona, jakby mieszkańcy wyprowadzili się z miasta. Przez miejscowość, w której o dziesiątej przed południem zamknięte były wszystkie sklepy, bary i urzędy, przebiegała prosto, jak strzeł, zakurzona szosa, ciągnąca się piętnaście kilometrów do granicy węgierskiej, a może nawet aż po stepy Mongolii. Dwupiętrowe żółte domy, z których wiele pochodziło z czasów c.k. monarchii, pięknie wystrojone, stały w szerebach stykających się pod kątem prostym i sprawiały wrażenie niezamieszkałych. Po drodze nie spotkałem żywej duszy, tylko z ciemnego wnętrza narożnej kamienicy dobiegały stłumione głosy i hałasy. Szybko, żeby nie pozwolić sobie na żaden wybieg, wszedłem przez otwarte drzwi do kawiarni Casablanca, obawiając się z góry, że odkryję tam światowe centrum monotonii.

Casablanca była spelunką składającą się z jednego dużego, mrocznego pomieszczenia, przesiąkniętego ostrym zapachem moczu. Przy dziesięciu masywnych drewnianych stołach siedziało po dwóch, trzech robotników w kombinezonach, jedząc obiad, gulasz z knedlami,

i popijając wódkę z ciężkich szklanek przypominających nagrobne znicze. Tylko nieliczni rozmawiali, większość żuła w milczeniu z wbitym w talerz zmęczonym wzrokiem, który podnosili tylko od czasu do czasu, żeby spojrzeć w znajdujący się nad barem telewizor. Na ekranie kilka starszych bogatych Amerykanek kłóciło się wesoło po słowacku, pobudzając co chwila do śmiechu wyimaginowaną filmową publiczność, podczas gdy tę przy stołach owa starcza błazenada pozostawiała całkowicie niewzruszoną. Musiałem się pośpieszyć i ruchem ręki dać znać trzydziestokilkuletniemu jasnorudemu, krępemu kelnerowi, żeby z przyzwyczajenia i mnie nie podał gulaszu, knedli i wódki. Tylko jeden gość, mniej więcej w moim wieku, siedział plecami do telewizora. Z jego twarzy prawie już zniknął ów przekorny wdźwięk spryciarza, dzięki któremu odnosił może kiedyś sukcesy, najwyraźniej niewystarczające. Teraz był chudym, zniszczonym pijakiem, który samotnie pił piwo z butelki i bezgłośnie mówił sam do siebie. W pewnej chwili, nie mając akurat nic do roboty przy gościach, kelner stanął przy moim stole, uderzył się w pierś i powiedział: — Kwiecień — ja — Budapeszt, i powtarzał to z triumfującą miną tak długo, aż kiwając głową, dałem mu do zrozumienia, że pojmuję, jaki jest zrozpaczony.

Niedługo potem wszedł do sali mężczyzna z ciężkim, zakurczonym rowerem. Przeniósł go przez próg, podprowadził do bufetu, oparł i zamknął starannie na szyfrowy zamek. Czynności te nie zwróciły niczyjej uwagi. Przybysz, kiedy jego oczy przyzwyczały się już do ciemności, podszedł do stołu pijaczyny, usiadł i kelner

przyniósł mu na tacy, ale bez szklanki, butelkę piwa, do której gość przyssał się łapczywie. Obaj pili jeszcze przez jakiś czas, po czym mężczyzna podniósł się tak samo nieoczekiwanie, jak się pojawił, podszedł do baru, zdjął blokadę z roweru i bez słowa pożegnania wyprowadził go za drzwi.

Także teraz, o jedenastej, na ulicy koło Casablanki nie widać było prawie nikogo. Tylko przed siedzibą gminy jakaś Cyganka szczotką zamiatała chodnik. Ucieszyła się, że widzę, jak pracuje, i kiedy przechodziłem, uniosła szczotkę, tak jakby chciała pozwolić także mnie, obcemu, sprzątnąć kawałek chodnika i przez ten udział w upiększaniu miasta poczuć się trochę u siebie. W Tornal'i największą mniejszość narodową stanowią nie Romowie, tylko Węgrzy. W swojej historii miasto musiało wielokrotnie zmieniać nazwę, między rokiem 1945 a 1990 nazywało się Safárikova, na cześć słowackiego uczonego Pavola Jozefa Safárika, który przed dwustoma laty marzył o humanistycznym zjednoczeniu wszystkich Słowian, ale nigdy nie był ani w Tornal'i, ani w rejonie Słowackiego Krasu, na którego południowo-zachodnich krańcach leży ta miejscowość. Stolicą regionu jest o dwadzieścia kilometrów oddalona Revúca, którą przypadek państwowego bestialstwa uczynił przed dwoma laty sławną. Policjant nazwiskiem Ondrej Hudák junior pobił na posterunku pięćdziesięcioletniego Roma Karola Sendreja do tego stopnia, że ten w towarzystwie swoich płaczących dzieci udał się do domu burmistrza, żeby złożyć skargę. Wówczas burmistrz nazwiskiem Ondrej Hudák senior razem z synem, który w złym

humorze wrócił właśnie ze służby do domu, rzucili się na niego, bijąc i kopiąc tak długo, aż zmarł. Ponieważ sprawą zajął się słowacki Komitet Praw Człowieka, stała się ona głośna, mimo że szpital w Revúcy zdążył już zaświadczyć w urzędowym akcie zgonu, że Karol Sendrej, mający pękniętą wątrobę, obrażenia czaszki, połamane kości i wylewy wewnętrzne, zmarł śmiercią naturalną.

Na tablicy dworca autobusowego widniała informacja, że autobus do Revúcy kursuje co dwie godziny, ale liczne brudne pojazdy stały ciasno zaparkowane, najwidoczniej dawno już odstawione i zapomniane. I właśnie wtedy, w małym parku za dworcem, usłyszałem jednak wreszcie śmiech Tornał'i. Kilku chłopców, porzuciwszy na ziemi szkolne teczki, siedziało, nudząc się, na dwóch przeciwległych ławkach. Tuż przed ostateczną śmiercią z nudów młodzieńcy urządzili sobie na siedząco zawody w pluciu na odległość i do celu. Kiedy dwie solidne porcje flegmy wylądowały jedna na drugiej w samym środku między ławkami, rozległ się okrzyk radości. Jakby klątwa, rzucona na to przedpołudnie, została nagle zdjęta, w tej samej chwili ręka jakiegoś ducha uruchomiła silnik, z sykiem zamknęły się hydrauliczne drzwi i liniowy autobus do Revúcy, najwyraźniej bez kierowcy i bez żadnego pasażera, odjechał mi sprzed nosa punktualnie co do minuty.

W latach dziewięćdziesiątych tworząca się dopiero słowacka opinia publiczna, która lubiła być podtrzymywana na duchu wiadomościami o sukcesach gospodarczych, została skonfrontowana z niemiłym faktem mnożących się aktów przemocy wobec Romów. Donoszono o przypominających pogromy napadach na romskie osiedla, leżące na skraju idyllicznych wiosek, i o spontanicznych bijatykach po meczach piłkarskich albo na zakończenie pijackich eskapad w miastach. Tłumaczono to surowymi warunkami budowy kapitalizmu, który w przeciągu zaledwie kilku lat całkowicie zniszczył tradycyjne gwarancje bezpieczeństwa, jakie swoim poddanym dawał paternalistyczny system realnego socjalizmu. Przez czterdzieści pięć lat, kiedy to Słowacją rządili komuniści, Romowie rzeczywiście nie musieli się obawiać ataków skinów, ponieważ nie istniały wtedy włóczące się bandy łysych, dla zabicia czasu polujące w środku miasta na ludzi. Wtedy też Romowie nie byli w stu procentach bezrobotni, tak jak to jest teraz w wielu gminach wschodniej Słowacji. W okresie stalinizmu

wszyscy musieli pracować, a i w późniejszych latach dla każdego oficjalnie powinna znaleźć się praca nawet tam, gdzie nie było nic do roboty. Ze względu na swoje pochodzenie Romowie nie mogli być obrażani ani gorzej traktowani, ani nawet oficjalnie wyodrębniani spośród innych narodowości. Te gromkie fanfary zapoczątkowały okres, kiedy to pewnym grupom Romów udało się zintegrować z socjalistycznym społeczeństwem, znaleźć pracę w wielkich kombinatach przemysłowych i zapewnić dostęp do państwowych szkół swoim dzieciom, spośród których nieliczne kontynuowały i kończyły naukę nawet na wyższych uczelniach. Wtedy, co prawda, najczęściej przestawały być Romami. Jako socjalistyczni obywatele pośród wyłącznie socjalistycznych obywateli Romowie mieli prawo do korzystania z pomocy i ochrony, jednocześnie jednak najzwyczajniej odmówiono im prawa do istnienia jako odrębna grupa etniczna ze specyficznymi tradycjami, własnym językiem i szczególnymi potrzebami kulturowymi. Ich język uznano za dialekt, którego nie wolno było uczyć w przedszkolach i szkołach ani używać w urzędach i kontaktach z władzami, ich kultura uchodziła za oznakę społecznego zacofania, z którego najszybciej wydobyć miało Romów obrabowanie ich z tradycji i zmuszenie do zapomnienia tego wszystkiego, co odebrano im gwoili postępu i równouprawnienia. Krótko mówiąc, w obliczu prawa Romowie stali się równymi pośród równych, ale tylko pod warunkiem, że nie będą już nikim szczególnym. Wprawdzie zapewne z utęsknieniem wyglądali chwili, kiedy otrzymają równe prawa obywatelskie, ale wyrzec się własnego języka, stylu

życia i kultury albo wyprzeć się ich jako jakiejś skazy ani nie chcieli, ani nie potrafili.

W chwalebnym zamiarze zintegrowania trzystu czy czterystu tysięcy Romów ze słowackim społeczeństwem władza komunistyczna poczyniała sobie nader brutalnie. Rodowe osady równano z ziemią, ich mieszkańców rozsyłano po różnych rejonach przemysłowych i upychano we wznoszonych wszędzie robotniczych osiedlach. Klany, w których Romowie przetrwali całe stulecia z ich wszystkimi kryzysami i przemianami, rozbijano, na ile się dało, rozdzielając ich członków i wysyłając jednych do pracy na zachodzie Czech, a drugich nad granicę ukraińską. Zamiast czuć się dalej bezpiecznie w tak anachronicznej organizacji społecznej jak klan, mieli w przyszłości czuć się jak u siebie w domu w zakładowych brygadach i komitetach osiedlowych. Jeśli cierpieli dotąd, ponieważ określano ich tożsamość zawsze jedynie etnicznie i od czasu do czasu nęcano rasistowskimi pogromami, to teraz dowiedzieli się, że w rzeczywistości nie są żadną grupą etniczną ani rasą, tylko reakcyjną warstwą, lumpenproletariatem, który trzeba bezwzględnie wcielić do panującej klasy robotniczej.

Co robić z ludźmi, którzy tkwią w biedzie i brudzie, a jednocześnie są powołani do tego, żeby połączyć się z rzekomo panującą w kraju klasą? Praca w zawodach, dzięki którym Romowie przez wieki zapewniali sobie egzystencję, stała się zbędna. Dopóki istnieli chłopci uprawiający własne pola, wędrowni Romowie znajdowali sezonowo zatrudnienie i we wsiach, przez które ciągnęli, byli często niecierpliwie wyczekiwani. Czy to jako ko-

wale sprawiali, że kulejące konie mogły znowu ciągnąć wozy, przy których naprawiali przy okazji również koła, czy jako pomocnicy przy żniwach byli na miejscu przez te kilka tygodni, kiedy zboże musiało być zwiezione, żeby się nie zmarnowało — Cyganie uczestniczyli w różnoki sposób w życiu gospodarczym, a jednocześnie żyli we własnym wędrownym świecie i według własnych praw. Dotyczyło to także wielu tych, którzy od dawna wiedli osiadły tryb życia i jako kowale, kotlarze czy garncarze potrzebni byli rzemiosłu, także artystycznemu, w każdym mieście.

Ale co począć, gdy nie ma już chłopskich gospodarstw, tylko kołchozy, dla których narzędzia produkuje ściśle według planu wielkie fabryki, a naprawiają fachowcy, i co począć, gdy rzemieślnicy, ci pogardzani drobni kapitaliści, stają się w końcu świadomymi klasowo robotnikami przemysłowymi? Socjalistycznemu społeczeństwu, forsującemu rozbudowę przemysłu ciężkiego i wywłaszczającemu chłopów, Romowie przysporzyli nieoczekiwanych trudności — mimo że rzekomo to właśnie społeczeństwo miało im dawać równe prawa. Wielu Romów nadal wędrowało, ale nikt już na nich nie czekał; inni byli tak niewdzięczni, że mieszkając pośród klasy robotniczej w pięknych osiedlach z wielkiej płyty, nie czuli się szczęśliwi. Dawali drapakę i na obrzeżach miast i wsi zakładali nowe osiedla bez kanalizacji i prądu.

Obstrukcja, zła wola czy zrządzenie natury: tak czy owak w połowie lat siedemdziesiątych dla biurokratów zatroskanych o los Romów stało się jasne, że jest ich w Słowacji więcej niż kiedykolwiek, że wielu z nich

choruje, ale że są jednocześnie przeraźliwie płodni. Dlatego w lipcu 1977 roku Ministerstwo Zdrowia wydało dyrektywę, która miała przynieść rozwiązanie w obu przypadkach: marnego zdrowia i niezdrowego społecznie tak dużego przyrostu naturalnego. Romskie kobiety, które trafiały do szpitala z powodu choroby lub porodu, sterylizowano wbrew ich woli albo i bez ich wiedzy. Inne, które nie miały powodu uciekać się pod opiekę lekarską, żeby w jej wyniku stracić to, co w ich społeczności stanowiło największą wartość, to jest zdolność płodzenia i rodzenia dzieci, możliwie wielu dzieci, pracownicy opieki społecznej zwabiali do szpitali zapewnieniem, że sterylizacja działa tylko przez kilka lat i jest rekompensowana znaczną sumą trzydziestu tysięcy koron. Ilu Romów zostało wysterylizowanych w ostatnich latach realnego socjalizmu, nie wiadomo. Wiadomo tylko, że żadna z kilkudziesięciu kobiet, które wystąpiły później do sądu ze skargą przeciwko pracownikom opieki społecznej, lekarzom i państwu, nie doszła swoich praw. Prawnicy i biegli budującego się kapitalizmu potwierdzili, że medycy upadającego komunizmu tylko dlatego sterylizowali romskie kobiety starannie i jedną po drugiej, że w przypadku dalszych ciąż tych kobiet nie można było wykluczyć szkodliwych następstw dla zdrowia matki i dziecka.

Obudziłem się wcześniej, bo w sąsiednich pokojach dwóch mężczyzn ryczało do telefonów komórkowych. Przez chwilę myślałem, że kłócą się ze sobą ponad moją głową, jednak ten z prawej strony donosił żonie nadąsaną wiedeńszczyzną, jak trudno przebiegały wczorajsze rozmowy oraz z kim, w jakim barze i ile koniaków musiał wypić, podczas gdy ten z lewej wydawał, wrzeszcząc, polecenia w nieznanym mi, ba, zagadkowym języku. Wstałem i wyjrzałem z okna na ósmym piętrze. Miasto otaczały wzgórza, na których usadowione były ogromne satelickie osiedla. W porannej szarówce kilkoma pasami toczył się w stronę miasta ruch samochodowy, niesłyszalny z powodu dźwiękoszczelnych okien.

Późnym wieczorem dotarłem do Koszyc i przez dwie godziny musiałem wędrować od tych przystępnych do najdroższych hoteli w mieście. W tygodniu wszystkie były zajęte, pierwszy przez delegację przedstawicieli świata biznesu i gospodarki Kazachstanu, następny przez działaczy sportowych przybyłych na słowackie mistrzostwa w kick boxingu, i tak dalej, aż w końcu

wylądowałem jednak w Slovanie, czego za wszelką cenę chciałem uniknąć. Wysoki na dwanaście piętér, stał między obwodnicą okalającą starówkę a ulicą Hlavną, przechodzącą w rynek, który przypominał długi na kilkaset metrów deptak albo corso, otoczone wspaniałymi budynkami. Byłem zdziwiony, że niecałe sześćdziesiąt kilometrów od granicy ukraińskiej można trafić do takiego miasta. Koszyce bowiem, której to nazwy większość mieszkańców Europy Środkowej pewnie nie słyszała, nie są jakimś pozbawionym oblicza miejscem na obrzeżach Europy, lecz środkowoeuropejskim miastem z rynkiem tak pięknym, że podobnego chyba jeszcze nigdy nie widziałem, a cały obszar wokół Hlavné námestie, od gotyckiej katedry św. Elżbiety, największego kościoła na Słowacji, po secesyjny teatr i niezliczone kamienice, został całkowicie odrestaurowany. To, że znalazłem się na Wschodzie, poznawałem po tym, że gotyk nigdzie tutaj nie był zapaskudzony barokiem, a secesja nie padła ofiarą destrukcyjnej żądz banków i kas oszczędności. Na Hlavné námestie można było sobie jeszcze wyobrazić, jak przed stu laty codziennie o stałej porze spacerowali tutaj mieszkańcy; o skrytych, trawiących ich namiętnościach opowiadał Sándor Márai, urodzony i dorastający we wspaniałym domu przy jednej z przecznic. Przez setki lat Koszyce były jednym z najbardziej znaczących miast Węgier, nazywanym przez ludność węgierską Kassa, a przez licznych tutaj Niemców — Kaschau.

Kiedy późnym wieczorem, zrezygnowany, wynająłem pokój w Slovanie, w eleganckim hallu kłębiły się jeszcze dziesiątki ludzi. Głęboko zatopiony w fotelu wylegiwał

się jakiś słowacki generał w ciemnozielonym mundurze udekorowanym dziecinnie ogromną liczbą kolorowych odznaczeń na piersi i wesoło podrygującymi galonami na ramionach. Brzeg jego generalskiej czapki wystawał ze stojącej przy nim reklamówki firmy Billa. Jego adiutant co kilka minut dawał znać kelnerowi, żeby na bieżąco zaopatrywał w napoje generała i trzech Azjatów, z których jeden nawet po cywilnemu wyglądał tak, jakby był przełożonym pozostałych. Miało się wrażenie, że przy co drugim stole omawiano, ubijano lub opijano interesy, a wszędzie snuli się dyskretnie dwudziestokilkuletni mężczyźni o ciałach wymodelowanych na siłowniach lub za pomocą odżywek i wbitych w ciemne garnitury. Mieli opanowaną technikę aroganckiego lustrowania wchodzących. Jedną ręką bawili się przy tym komórką, w drugiej trzymali papierosa, a trzecią miętosili genitalia. Kelner, również oficer oddelegowany w misji specjalnej do kasyna, popatrzył na mnie z dezaprobatą, kiedy z przyzwyczajenia zamówiłem piwo miejscowej produkcji, i z wyjaśnieniem, że Heineken został przejęty przez słowacką spółkę, przyniósł mi puszkę tego nijako smakującego napoju. Wypiłem szybko trzy puszki jedną po drugiej, ale nie udało mi się popaść w ów stan lekkiego rauszu, który uwolniłby mnie od przymusu obserwowania otoczenia, dlatego dałem za wygraną i z mdłym holenderskim posmakiem w ustach pojechałem na górę do pokoju.

Właściwie Marie Poirot nie po to studiowała architekturę w Grenoble, żeby w przyszłości katalogować w Koszycach rozpaczliwie podupadłe mieszkania Romów. Ale pewnego razu znalazła się w Bratysławie, skąd wyruszyła w podróż po kraju i zapatrzyła się we Wschód. Teraz była już trzeci rok w Koszycach i zastanawiała się, czy po zakończeniu pracy wrócić do domu, czy też podążać dalej w kierunku wschodnim. W tym, co robiła, wspierała ją francuska organizacja pomocy, a słowaccy urzędnicy ciągle jeszcze ją tolerowali. Miała niewiele ponad trzydzieści lat, ciemne, na wszystkie strony sztywno sterczące włosy i poruszała się z ową somnambuliczną elegancją gidii, które przechodząc, niby co rusz coś potrącają, w rzeczywistości jednak nie dotykają niczego. Filiżanki i szklanki grupowała na kawiarnianym stoliku tak, jakby za chwilę miały z niego spaść albo zostać przez nią strącone, ale tak naprawdę przedmioty te nigdzie nie były bardziej bezpieczne niż w zasięgu jej ręki. Kiedy weszła do kawiarni, od razu rozpoznałem w niej pośród licznych wchodzących i wychodzących kobiet ową

Francuzkę, z którą byłem umówiony. Rozmawialiśmy potem o etnicznym spojrzeniu, którym w narodowo zróżnicowanej Europie Wschodniej ludzie taksują się jakby mimochodem, przyporządkowując się wzajemnie do określonej narodowości, przy czym my także rozpoznaliśmy się od razu po zewnętrznych cechach, z których zupełnie nie zdawaliśmy sobie sprawy. Marie mówiła świetną niemieczyzną, której drobne usterki tłumaczyła tym, że ze swoją alzacką babką zaczęła rozmawiać po niemiecku, niestety, dopiero wtedy, kiedy była już prawie dorosła.

Powiedziała mi, że była w każdym z mieszkań dających w Luníku IX schronienie trudnej do sprecyzowania liczbie czterech do sześciu tysięcy Romów. Luník IX to nazwa osiedla położonego na południowy zachód od miasta, powstałego w latach siedemdziesiątych na wzgórzu powyżej jednej z arterii wylotowych i w wyniku szeregu biurokratycznych zarządzeń zdegradowanego z upływem czasu do rangi największego cygańskiego getta w Europie. Z daleka prezentowało się jak inne wielkie osiedla, którymi otoczone są Koszyce. Delegacje Unii Europejskiej, które w ubiegłych latach wizytowały Luník IX, po krótkim obchodzie zawsze wpadały w panikę: wkrótce wewnątrz europejskie granice ze Słowacją zostaną zniesione — co będzie, gdy te groźne masy z getta wyruszą w drogę, by żebrząc, muzykując i kradnąc, okupować deptaki w Düsseldorfie, Nantes czy Aarhus? Słowacja otrzymała wówczas wyraźne polecenie zadbania o to, żeby jej problemy z Romami nie stały się tym, czym były zawsze, mianowicie sprawą europejską.

Swobodny przepływ towarów i osób, który był w ogóle jednym z najważniejszych powodów powstania Unii, miał zostać utrudniony tym, którzy ten przepływ praktykowali w Europie od stuleci. Żeby skutecznie zatrzymać Romów na Słowacji, kilkaset kilometrów dalej na zachód wymyślono zupełnie nierealne programy pomocy, o których żalosnym niepowodzeniu nikt nie chciał być później bliżej informowany.

Już o okolicznościach powstania Luníka IX krążą tak liczne opowieści i legendy, że pośród pytanych przeze mnie osób nie znalazły się choćby dwie, które opowiedziałyby mi to samo. Dziwna sprawa, że dziesięć, dwadzieścia lat po wybudowaniu dzielnicy mieszkaniowej nawet fachowcy w urzędzie planowania miasta nie są zgodni co do tego, w jakim właściwie celu i pod jakim politycznym pretekstem powstała ta dzielnica. Pewien urzędnik powiedział mi, że Luník IX przemienił się w slumsy niejako tylko w wyniku bałaganiarstwa, bezradnej bezplanowości, która z epoki gospodarki planowej przeniknęła do ery gospodarki rynkowej. Marie Poirot przypuszcza jednak, że było inaczej.

W latach siedemdziesiątych na jednym z nielicznych już wówczas wolnych wzgórz powstało wzorcowe osiedle, oddalone nieco bardziej niż inne od centrum i z większymi mieszkaniami, jakby kiedyś miały się do nich wprowadzić wielodzietne rodziny. Oficjalnie mówiono, że osiedle buduje się dla pracowników administracji miejskiej i okręgowej, a także dla rodzin policjantów i oficerów, którzy istotnie jako pierwsi objęli nowe mieszkania w posiadanie. Już jednak około 1980 roku

zlikwidowano kilka małych slumsów na obrzeżach Koszyc i przeniesiono mieszkańców z wałących się chat do wspaniałych nowych budynków na Luníku IX. Tak imponująco odrestaurowana dziś koszycka starówka znajdowała się wtedy w stanie budowlanej ruiny i społecznego zaniedbania. Domy od dwóch pokoleń opuszczone przez dawnych właścicieli, niegodnych zaufania przedstawicieli klasy wyzyskiwaczy, popękane od mrozu, podmyte przez deszcze, z odpadającymi, porośniętymi grzybem tynkami, dojrzały do wyburzenia i w rezultacie zamieszkiwali je już tylko Romowie, którzy gdziekolwiek mieszkają, nie czynią tego na podstawie ważnych umów najmu, nie mówiąc już o wpisach do ksiąg wieczystych.

Wtedy gdy na obrzeżach miasta powstało wielkie osiedle, a w centrum rozpadał się zespół architektoniczny należący do najpiękniejszych w Europie, wybiła godzina burmistrza Rudolfa Schustera, późniejszego prezydenta Słowacji. Schuster rozumiał, że odnowa starówki nie będzie wprawdzie inwestycją, która szybko się zwróci, ale będzie inwestycją, która przyniesie efekty w przyszłości. Był też gotów wykonać owo wielkie cięcie, na które jego poprzednik zdecydować się jeszcze nie chciał. Siłą autokraty Schuster uratował koszycką starówkę, wypędzając z niej mieszkańców. Oficerowie i urzędnicy zaczęli tłumnie opuszczać Luník IX, gdy tylko spostrzegli, że w mieście odbywa się czystka etniczna, a Luník IX przeznaczony jest do tego, żeby przyjąć wypędzonych. Pewnego dnia na teren ciemnej, rozsypującej się starówki wjechały autobusy z policjantami jednostki specjalnej. Mieszkańców wyprowadzono z domów i bez ceregieli,

nie zważając na ich lamente, przetransportowano trzy kilometry dalej do Luníka IX. Potem na starówkę, której remont mógł się rozpocząć dopiero po tym akcie przemocy, wjechały buldożery, dźwigi, spychacze i zaczęły dzieło odnowy miasta. Marie Poirot bębniła w stół smukłymi palcami, na których studenci medycyny podczas ćwiczeń z anatomii mogliby studiować każdą kosteczkę z osobna. Jest też możliwe, że Luník IX zbudowano w ogóle tylko dlatego, że starówka musiała pójść do remontu. I że w odnowionym centrum miasta, gdzie w bliskiej przyszłości miały być organizowane naukowe kongresy i gdzie międzynarodowe koncerty miały lokować swoje siedziby, nie chciano już widzieć żadnej z tych ciemnych postaci.

Co powoduje, że slumsy stają się slumsami? Przed kilkoma laty przejechałem z przyjaciółmi samochodem przez cały Brooklyn. Podróż trwała wiele godzin, a my przebyliśmy w tym czasie wiele światów. Nieistotne, ile narodowości zamieszkuje Brooklyn — pięćdziesiąt trzy czy też, jak głosi legenda, sto sześć — uparcie posuwając się naprzód, przejeżdżaliśmy przez włoskie miasteczka, w których przed barem Italia ludzie dyskutowali o najlepszym od maminych czasów spaghetti, przez dzielnicę arabską, gdzie honoru kobiet strzegł czarny namiot, który każda z nich nosiła na sobie i który pozostawiał tylko wąski otwór na oczy, przez kwartał karaibski, gdzie grupy rastafarian bębniły w pojemniki na śmieci, przez ortodoksyjną gminę żydowską, gdzie mężczyźni chodzili w czarnych spodniach, białych koszulach i kapeluszach, jakby ciągle jeszcze żyli w galicyjskim sztetl, z którego wywędrowali ich dziadkowie... I raz po raz przejeżdżaliśmy przez zrujnowane kwartały, gdzie na ulicach stali, zataczali się, leżeli młodzi ludzie, najczęściej czarni, ale nie tylko, wiele domów było wypalonych, inne nosiły

widoczne ślady zniszczenia, a prawie wszystkie wysmarowane były hasłami, które wyznaczały granice rewirów gangów albo dawały wyraz nieukierunkowanej na nic konkretnego nienawiści apatycznej zbiorowości, która w niczym nie mogła już odmienić swojej nędzy, a przez agresję skierowaną ku sobie samej jeszcze tę nędzę pogłębiała. Ktokolwiek mieszka w Brooklynie i codziennie przejeżdża samochodem albo autobusem przez dzielnice, w których w każdej chwili grozi wybuch przemocy, nie może nie widzieć takich ulic, zniszczonych domów, zataczających się ludzi, trzeciego świata w swoim sąsiedztwie. A jednak nie widzi.

Istotą slumsów nie są ani bieda, ani przemoc, ani bezrobocie, ani ogólny rozkład. Istotą slumsów jest ich niewidzialność. Slumsy są tuż obok, ale się ich nie widzi. Nie spotkałem w Koszycach niemal nikogo, kto byłby kiedykolwiek w Luníku IX. W całym kraju zetknąłem się z kilkoma zaledwie osobami, obojętne, czy były one narodowości węgierskiej, niemieckiej, ruskiej, polskiej czy słowackiej, które znałyby bliżej choćby jednego jedyne go Roma. Luník IX dzieli od centrum dziesięć minut drogi samochodem i jest tam też pętla miejskiej linii autobusowej. Nigdy jednak nie wysiadł ani nie dosiadł się tam nikt, kto nie byłby mieszkańcem getta albo pracownikiem opieki społecznej, tego zaś, co ludzie potrafią opowiedzieć o tej dzielnicy ich własnego miasta, dowiedzieli się zawsze od kogoś innego, a ten ktoś przeważnie też nie miał tych wiadomości z pierwszej ręki.

Można się oburzać, ale to oburzenie niczego nie zmienia: slumsy pozostają niewidoczne, nawet jeśli mija się

je codziennie. Są otoczone niewidzialnym murem, i ten mur oddziela od siebie światy. Za murem żyją inni ludzie, którzy przez wielu, skądinąd potrafiących zachowywać się w sposób cywilizowany, nie są postrzegani jako ludzie prawdziwi. — Widzisz w oddali nadchodzącego człowieka — powiedział ktoś, dotąd niezwykle dla mnie miły — a kiedy podejdziesz bliżej, spostrzegasz, że to jednak tylko Cygan.

Wjeżdżając do getta od strony szosy wylotowej, natrafia się na małą, słabo widoczną uliczkę, która łączy Luník IX z następnym przedmieściem Koszyc. Uliczka ta jest prawie nieuczęszczana, bo żeby dostać się do Myslavy, ludzie wolą korzystać z arterii wylotowej, która mija najpierw wzgórze Luník IX, a niecałe sto metrów dalej ma odnogę prowadzącą do Myslavy. Jest to przedmieście położone idyllicznie nad szumiącym potokiem, gdzie stoją obok siebie stare chłopskie chaty, nowe wille i dużo drogich samochodów. Szczęście i dobrobyt wydają się tu niczym niezagrożone, w ogrodach czekają na lato kamienne grille, a na wracające ze szkoły lub przedszkola dzieci — huśtawki. Getto położone jest w odległości niecałych trzystu metrów od Myslavy i jej mieszkańcy codziennie przejeżdżają obok Luníka IX, ale nie odważają się tam wejść.

Marie Poirot zaproponowała mi, że w weekend oprowadzi mnie po Luniku IX, gdzie przez trzy lata studiowała warunki życia Romów i odwiedzając mieszkanie po mieszkaniu, przepytывała rodzinę za rodziną, jak chciałyby mieszkać. Wypędzeni z rozwalających się domów w mieście i skierowani do nowych bloków Romowie początkowo nie chcieli zajmować wyższych pięter. Jakiś czas trwało, zanim przyzwyczajeni do mieszkania w parterowych albo co najwyżej dwupiętrowych domach, zaczęli stopniowo zdobywać wyższe kondygnacje. Po niedługim czasie jednak dumne nowe osiedle zaczęło wyglądać tak, jakby zbudowano je przed dziesiątkami lat i od tej pory nigdy nie odnawiano. Romowie, zmuszeni do zamieszkania na osiedlu zaplanowanym i zbudowanym bez ich udziału, nie czuli się tam dobrze i nie wiedzieli, jak kilka tysięcy ludzi może na tak małej przestrzeni znośnie ułożyć sobie wspólne codzienne życie. Nie znali owej wielkomiejskiej kultury, gdzie każdy żyje sam dla siebie, a sąsiada zostawia w spokoju i anonimowości, tylko mieli zwyczaj nawiązywania osobistego kontaktu ze

wszystkimi, którzy z nimi mieszkali, a kto jest w stanie to zrobić w przypadku kilku tysięcy ludzi?

Zanim Marie oprowadziła mnie po swoim miejscu pracy i wyjaśniła wszystko, co odkryła, wnikając w tę zamkniętą społeczność jako ktoś z zewnątrz, a nawet z obcego kraju, i do tego kobieta, postanowiłem sam mu się przyjrzeć. Wszyscy w Koszycach, którym opowiadałem, że zamierzam odwiedzić Lunik IX, odradzali mi to z przerażeniem. Wykładowcy uniwersyteccy, którzy przez całe swoje akademickie życie propagowali ideały Oświecenia i naukowej krytyki, ostrzegali mnie, jakby tam na wzgórzu, u Cyganów, miało być zagrożone moje życie. Młodzi ludzie, którzy przewędrowali pół Europy, ćmiąc trawkę w Amsterdamie, upijając się w Costa Brava i nocując w parku w Londynie, byli przerażeni taką dawką bezsensownej odwagi. Miałem wrażenie, że tracę od razu sympatię tych wszystkich miłych ludzi, bo zamiast zwiedzać Muzeum Techniki albo Mikołajowe Więzienie chciałem koniecznie udać się do dzielnicy, której zupełnie nie znali, co uświadamiali sobie często dopiero w wyniku moich pytań.

Taksówkarz zatrzymał się na dole, gdzie staje miejski autobus, i nawet dla napiwku nie zadał sobie trudu, żeby ukryć pogardę, jaką do mnie odczuwał. Lunik IX to dwa płaskie wzgórza. Na niższym znajdują się szkoła, przedszkole i boisko. Na wyższym, które ma może trzysta metrów długości i dwieście metrów szerokości, zbudowano około dwudziestu przeważnie sześciopiętrowych bloków. Dziesięć z nich zamyka teren od tyłu. Kiedy w powszedni dzień koło południa z pewną jednak obawą tam

poszedłem, na rozmiękczonej przez wiosenne deszcze brunatnym trawniku między domami stało na pewno z pięćset osób. Mniejsze grupki co chwilę wędrowały w dół na przystanek autobusowy, skąd inne szły pod górę z torbami pełnymi zakupów, ale większość, setki ludzi, donikąd nie szła ani znikąd nie wracała, tylko stała, to w pojedynkę, to we dwójkę, to w dwadzieścia osób na pasku asfaltu przed swoimi domami albo w błocie między nimi, stała, paliła i zdawała się w najmniejszym stopniu nie zwracać na mnie uwagi. Z okien, które także o tej porze roku były otwarte, jeśli w ogóle miały szyby, grzmiała muzyka, z każdego inna, a balkony obwieszane były gęsto bielizną i wyposażone w talerze do odbioru telewizji satelitarnej. Przewody elektryczne przeciągnięto w nedorzeczny sposób od ogromnych słupów wprost na balkony i do mieszkań, tak że szedłem pod siatką czarnych kabli. Domy, które z daleka wyglądały na białe, z bliska okazały się szare, poplamione, okna zaś, przez które wychodziły na zewnątrz dymiące rury piecyków, były okopcone czarną sadzą. Wszędzie stały duże kubły na śmieci, ale nie każdy, kto miał coś do wyrzucenia, z nich korzystał. Między kubłami a śmieciami, które do nich nie trafiły, kłębiła się nieprzebrana liczba dzieciaków; podczas obchodu spotkałem też całą rzeszę bladych dzieci, które same już miały dzieci albo były w ciąży, co nie przeszkadzało im namiętnie palić.

Zatoczyłem na wzgórzu duże koło, i każdy, komu skinąłem głową, odpowiadał skinieniem, a kiedy kogoś pozdrowiłem, to i on mnie pozdrawiał. Ludzie nie patrzyli na mnie wrogo, w ogóle na mnie nie patrzyli

i chociaż wydawali się zajęci głównie staniem, bezcelowym wystawianiem, ta czynność tak całkowicie ich pochłaniała, że nie mieli już siły na nic innego. Nie wydarzyło się nic niebezpiecznego ani nic poruszającego, ale im dłużej tam przebywałem, tym mocniej czułem, jak bardzo i jak paraliżująco to „nic” ciąży na osiedlu. Zmuszałem się, żeby nie przyspieszać, tylko zakończyć ten mój obchód miarowym krokiem, tak jak go zacząłem. Kiedy wróciłem do punktu wyjścia i skręciłem w ulicę prowadzącą do przystanku autobusowego, obejrzałem się i spostrzegłem, że pięćset osób patrzy w ślad za mną.

Kiedy Marie Poirot poczyniła już pewne postępy w swoich studiach nad tym, jak można by poprawić warunki mieszkaniowe i socjalne Romów w Luniku IX, zwróciła uwagę, że uzyskane wyniki były zupełnie inne, niż się spodziewała. W trzypokojowym mieszkaniu żyło przeciętnie dwanaście do szesnastu osób i Marie zakładała, że przesiedleni o niczym bardziej nie marzą niż o pojemniejszych lokalach. Tymczasem, rzecz dziwna, większość była zupełnie zadowolona z wielkości i wyposażenia swojego mieszkania. To, że nawet po założeniu własnej rodziny i szybkim pojawieniu się trojga, czworga dzieci mieszka się nadal z rodzicami i niezamężnym bądź nieżonatym rodzeństwem, jest dla większości Romów oczywiste. Biedny ten, kto musi żyć sam, a nie w otoczeniu krewnych! Czego pragnęła większość z nich, to żeby kuchenki i telewizory, które ciągle się psuły, naprawiały się szybko i niejako same z siebie. Nad czym cierpieli, to że ilekroć opuszczali getto, żeby zrobić zakupy albo stawić się w urzędzie, spotykali się z pogardą. Co zaś ich oburzało, to nowy

przepis, na mocy którego zasiłki były wypłacane w całości tylko wtedy, kiedy dzieci systematycznie chodziły do szkoły. To uregulowanie, zaproponowane przez romskie grupy samopomocy wspólnie z przychylnie nastawionymi do nich ekspertami do spraw oświaty, miało spowodować, że następne pokolenie będzie lepiej wykształcone i zdolne uzyskać kwalifikacje potrzebne do nauki zawodu. Obecni trzydziestolatkowie bowiem tylko przez kilka lat uczęszczali do szkół, albo i wcale, i byli w nich zwyczajowo separowani przez Białych, jak mówi się tutaj o nie-Romach, i umieszczani w klasach specjalnych. W rezultacie bezrobocie w Luníku IX jest wysokie, choć nie tak wysokie jak w wiejskich slumsach, gdzie w wielu miejscowościach dochodzi do stu procent. Niemniej prawie wszyscy w Luníku IX żyją z zasiłku. Całą grupę etniczną postawiono w poniżającej sytuacji: wszystko, co mogą zrobić, żeby zapewnić sobie byt, to składać wizyty w urzędach. Wykluczeni z rynku pracy Romowie muszą stawać w szranki na rynku pomocy społecznej. Oszustwa o charakterze socjalnym, wyłudzenie nienależnych dopłat — oto obszar, na którym dorosły Rom musi się sprawdzić jako dobry ojciec rodziny, troszczący się o swoich bliskich. Nie widzi w tym nic moralnie nagannego ani społecznie szkodliwego, tylko nieomal jedyną dziedzinę, w której doświadczeniem i zręcznością może coś osiągnąć.

Pogarda, z powodu której Romowie cierpią, przeistoczyła się już dawno w pogardę dla siebie samych, a do nędzy, w której żyją, dochodzi jeszcze wyzysk regulujący ich wzajemne stosunki. Luník IX to społeczność

klasowa i jeden z przyjaciół Marie przypuszcza, że żyje tu z pewnością dwóch, trzech milionerów. Ponieważ żaden bank nie udziela Romom kredytów, wykształcił się wśród nich stan pożyczkodawców i lichwiarzy, otoczony stanem egzekutorów należności. Kto raz popadł w długi, ten żyje na pograniczu niewolnictwa, ponieważ sam nigdy nie będzie mógł zarobić tylu pieniędzy, żeby spłacić dług wraz z lichwiarskimi odsetkami. Od lat panowie lichwiarze organizują swoim dłużnikom żebracze podróże po Europie. Wyposażają ich w paszporty i wizy i rozsyłają w grupach po sześćdziesiąt, osiemdziesiąt osób do zamożnych krajów Zachodu. Na przykład Belgia, która chciała zaoszczędzić sobie długotrwałych procedur imigracyjnych, jeszcze do niedawna wypłacała premię każdemu Romowi deklarującemu chęć powrotu do domu. Przed dwoma laty zafundowano Koszycom pamiętne przedstawienie, kiedy to do Lunika IX przybyła kolumna dwudziestu belgijskich taksówek z trzema Romami w każdej. Podróż opłaciła rada miejska jednego z flamandzkich miasteczek, bardzo zadowolona z tego, że bez większego zachodu pozbyła się tych sześćdziesięciu żebraków. Taksówkarze nie opuścili jeszcze getta, powracający do domu nie uścisnęli jeszcze wszystkich krewnych i przyjaciół, kiedy każdemu z przybyłych zdążono już odebrać zarobek. Ci, którzy wrócili z Belgii, nie wyzwolili się jednak w ten sposób z poddaństwa za długi, pieniędzmi, które przywieźli do domu, spłacili jedynie odsetki. W podobnym, ale bardziej morderczym stylu Bank Światowy i Międzynarodowy Fundusz Walutowy postępują z głodującymi państwami Trzeciego Świata,

dłaczego więc się oburzać, że na mniejszą skalę Romowie postępują tak z Romami?

Lichwiarze-milionerzy w przeciwieństwie do międzynarodowych ekspertów finansowych nie mieszkają jednak z dala od nędzy w pięknych okolicach z bajecznymi willami, tylko żyją w samym getcie, bo ich władza opiera się na obecności. Ta władza opiera się także i na tym, że bezlitośnie wykorzystywanym przez siebie ludziom zapewnia chwile szczęścia: festyny powitalne, podczas których wspaniałomyślnie funduje napoje, czy wesela, z okazji których funduje prezenty. Romowie, którzy w zachodnioeuropejskich miastach żebrzą pokornie o trochę grosza, to często właśnie tacy niewolnicy za długi, wysyłani przez panów lichwy na wytyczone wcześniej szlaki. Zawsze towarzyszą im w tych podróżach wasale lichwiarzy, którzy w razie potrzeby rozmawiają z policją i władzami. Co wieczór kasują uźebrane pieniądze, a przed swoim panem są odpowiedzialni również za to, żeby wszyscy dłużnicy powrócili do domu, bo jako dłużników chce ich on przecież zatrzymać.

Chciałem umówić się na spotkanie z burmistrzem Romów w Luníku IX, ale wyjechał w ważnych sprawach urzędowych. Kierując się różnymi motywami, do których należą tradycja i honor, mądrość i brutalność, pieniądze, wspaniałomyślność i przemoc, najbardziej wpływowi ludzie w osiedlu zaakceptowali go na tym szczególnym stanowisku. Luník IX stał się osiedlem romskim nie w wyniku powolnego napływu mieszkańców, lecz jako rezultat szeregu aktów administracyjnych. Dlatego obecny burmistrz ma niewiele wspólnego z vajdą czy mujalem,

którzy w tradycyjnych społecznościach, w ciągu ostatnich dziesięcioleci prawie całkowicie zniszczonych, cieszyli się powszechnym szacunkiem i byli uważani za kompetentnych, żeby sprawiedliwie rozwiązywać wewnętrzne konflikty i reprezentować na zewnątrz wspólne interesy. Burmistrzowie miejskich slumsów często są raczej mocnym oparciem dla istniejącego systemu, jakkolwiek by on był, bo nie mają przecież żadnego interesu w tym, żeby się coś zmieniło, żeby dzieci chodziły do szkoły, zdobywały wykształcenie i dzięki temu uzyskiwały niezależność. Ich panowanie oparte jest na bezprawiu. Ostatniego burmistrza Luníka IX odwiedzili wysocy przedstawiciele Unii Europejskiej, którzy akurat od niego zapragnęli się dowiedzieć, jak na dłuższą metę utrzymać Romów z dala od imperium Unii, i chociaż ten człowiek siedzi obecnie w więzieniu za handel narkotykami, przemyt broni i lichwiarstwo, półoficjalni przedstawiciele Europy nadal mijają się ustawicznie w drzwiach gabinetu mianowanego przez niego następcy. Ten, jak przystało na męża stanu, skarży się na pozbawienie Romów praw, jednocześnie pilnując, żeby wszystko zostało po staremu. Bo jeśli jego podopieczni doszliby swoich praw bez niego, toby go już nie potrzebowali, a gdyby ich dzieci znalazły pracę, to nie można by już było rozsyłać ich po Europie w charakterze żebraków, a gdyby do tego jeszcze powstała warstwa wykształconych Romów, zniknęłyby podstawy jego panowania.

Także w Luníku IX spotkałem garstkę Romów, którzy ukończyli szkoły wyższe i pracowali zarobkowo. Wszyscy zostali wykluczeni z romskiej społeczności i mieszkali

razem z nielicznymi tutaj Białymi w domu na skraju osiedla. Okrzyczani zdrajcami, którzy nie przestrzegają dawnych obyczajów i nie odnoszą się do nowych panów z respektem, zostali przez swoich odrzuceni, a mieszkańcy Koszyc nadal gardzą nimi tak, jak wszystkimi innymi Romami.

To, co zobaczyłem, to był jeden rozgardiasz, jeden wielki falujący, wibrujący rozgardiasz. Każdy, kto znajdzie się w slumsach, uważa je początkowo za niebezpieczny teren, na którym załamał się porządek i panuje absolutna wolność. To, co widzi, wydaje mu się chaotyczne i nieobliczalne, ponieważ nie może dopatrzeć się w oglądanym obrazie żadnego celu ani struktury i rejestruje tylko nastrój, fatalizm, despotyczną władzę tymczasowości. W Luníku IX wszystkie domy wydawały mi się takie same, jeśli pominąć to, że kilka było w lepszym stanie od innych. Niezliczeni ludzie pod gołym niebem wyglądali tak, jakby ich ktoś przypadkiem i nieumyślnie rozsypał po okolicy, bawiące się w berka dzieci przemieszczały się bezładnie po całym terenie. Nawet kiedy znalazłem się na wzgórzu po raz drugi i trzeci i rozpoznawałem już niektóre osoby, a kilku wyrostków wręcz pozdrawiało mnie od niechcienia, nie mogłem dociec, według jakich nieznanych mi reguł ci ludzie tak stali, przechodzili z miejsca na miejsce, wypełniali czas odrobiną działania. Aż w końcu uświadomiłem sobie, że nie istnieją tu żadne

szczególne reguły i że na tę społeczną geometrię ruchów składają się przypadkowe arabeski.

Kiedy doszedłem do wniosku, że w Luníku IX już dość zobaczyłem, zaprosiłem Marie Poirot na kolację do restauracji, żeby się z nią pożegnać. Myślałem o tym, że podczas moich ostatnich podróży poznałem wielu dziwnych ludzi, z którymi rzadko łączyły mnie podobne zainteresowania, ale często ta sama postawa, i których bez wyjątku traciłem potem z oczu. Niewiele o nich wiedziałem i nie stali się moimi przyjaciółmi, ale dając mi pewność, że wszędzie istnieją ludzie zainteresowani światem, a nie tylko braniem go w posiadanie, impregnowali mnie przeciwko niewrażliwości.

Kilka dni wcześniej zmieniłem kwaterę i przenieśliśmy się ze Slovana do małego pensjonatu. Nie mogłem tam, rzecz jasna, obserwować wieczorami ani ochroniarzy nowobogackich, ani samych nowobogackich z ich obsesjami, chodziłem więc dużo po uliczkach starówki, nie znajdując żadnego lokalu, w którym serwowano by słowackie potrawy. Teraz wylądowaliśmy w restauracji Billa i dopiero po jakimś czasie uzmysłowiliśmy sobie, że była ona w całości poświęcona mitowi Billa Clintona. Na piwnicznych ścianach wisiały fotografie z Arkansas i Waszyngtonu, nad barem umieszczono saksofon, a w karcie były tak wyrafinowane specjały jak antrykot à la Bill. W pewnej chwili Marie zapytała, czy zauważyłem, jak się bawią dzieci w Luníku IX. Ujrzałem je przed sobą, jak rozkrzyczane, rozhukane, brudne biegają dookoła, skaczą w kałuże, zawsze całe stado dzieci, których nikt z dorosłych nie uspokajał ani nie przywoływał do porządku,

i przypomniałem sobie, jak mimo przygnębiającego nastroju, pełnej napięcia monotonii, jaka rozpościerała się nad osiedlem, myślałem, że dla dzieci był to jednak raj. Miały wybieg, jakiego dzieci w mieście prawie już nie mają, i poruszały się w przestrzeni wolnej od zakazów i rygorów, której ich rówieśnicy są gdzie indziej od dawna całkowicie pozbawieni.

Marie potrzebowała roku, zanim zauważyła, że nawet najmłodsze dzieci dokładnie wiedzą, z kim mogą się bawić i jakich miejsc, biegając z pozoru tak swobodnie, mają unikać. Ponieważ Romowie znajdują się na najniższym szczeblu drabiny społecznej, z nierozumną życzliwością próbuje się traktować ich jako jednolity barwny lud, złożony z samych wyzyskiwanych. Co do mnie, to spostrzegłem wprawdzie, że w Luniku IX istnieją różnice klasowe, ale że była to także sztywna społeczność kastowa, tego na podstawie własnego oglądu jeszcze przez dłuższy czas nie potrafiłem dostrzec. Istotnie, niektóre dzieci były zaniedbane, nie tylko ich podarte na strzępy ubrania, ale także twarze lepiły się od brudu, nawet teraz, w zimnym marcu, biegały czasem boso albo tylko w jednym bucie, podczas gdy inne mogły się wprawdzie bawić swobodniej niż nasze dzieci, ale były ubrane odpowiednio do pory roku i zgodnie z aktualną dziecięcą modą. Istotnie, niektóre domy były w niezłym stanie, inne zaś nie miały nawet jednej szyby w oknach. Korytarze w większości zawałone były rupieciami, ale w jednym z domów na końcu złożonego z dziewięciu budynków tylnego frontu nadepnałem w ciemnościach klatki schodowej

na martwe zwierzę, które leżało tu, rozkładało się i nie obchodziło nikogo.

Jak się dowiedziałem, do Lunika IX przesiedlono z koszyckiej starówki i paru okolicznych osad członków trzech różnych kast. Romowie stanowili kastę najwyższą, już jej nazwa oznacza, jak wiadomo, człowieka. Kastę średnią określała Marie mianem Cyganów, w którym to określeniu pobrzmiewa na pół poniżający, na pół wyrażający uznanie synonim oszusta, łotra. Wprawdzie Romowie i Cyganie mają zwyczaj podkreślania różnic między sobą i odgradzania się od siebie, niemniej pozostają w codziennym kontakcie. Zdarza się, że Cyganka wychodzi za mąż za Roma, granice między obiema kastami są więc do przewyciężenia. Do najniższej kasty, spokrewnionej z niedotykalnymi w Indiach, zaliczono natomiast *degesi*. Romskie kobiety skarżyły się, że ich dzieci muszą się bawić w przedszkolu w tym samym pomieszczeniu co dzieci *degesi*, a przecież na dużym osiedlowym trawniku, gdzie nie ma żadnego płotu ani żadnych oznakowań, nigdy się do siebie nie zbliżają. Także przez Lunik IX, slumsy, których istotą jest pozostawanie niewidzialnymi dla mieszkańców miasta, przechodzą liczne niewidoczne granice. *Degesi* nie może wejść do mieszkania, a co dopiero do rodziny Roma. *Degesi* uchodzi za nieczystego i każdemu, kto ma z nim do czynienia, grozi, że sam stanie się nieczysty. Bo *degesi* oznacza psożercę.

Hotel Centrum należał do owych bombastycznych kompleksów hotelowych, których czas dobiegł końca wraz z upadkiem realnego socjalizmu. Dawniej zapępniały je w niezawodny sposób delegacje zaprzyjaźnionych państw, które zawsze miały coś do zwiedzenia, odsłonięcia, skontrolowania albo zaplanowania. Wraz z upadkiem Bloku Wschodniego wschodnia Słowacja stała się odstawionym na boczny tor peryferyjnym regionem, którego nikt już nie odwiedzał, z którym nikt już nie wiązał żadnych planów i gdzie także czechosłowacki przemysł zbrojeniowy wraz z depozytariuszami jego tajemnic nie wymagał żadnych kontroli. Chociaż goście prawie już tu nie zaglądali, hotelowi Centrum przeskok do epoki gospodarki prywatnej udał się znakomicie. Pokoje zostały wynajęte nowo powstającym, często szybko upadającym i pod inną nazwą na nowo zakładanym firmom, i kiedy wszedłem do hallu wytapetowanego po sufit szyldami, było tam jak w ulu. Zdenerwowani ludzie wchodzili i wychodzili, nie, wbiegali i wybiegali, przypuszczalnie aby przyspieszyć rozwój gospodarki, chaotycznie szukając w dawnym

pokoju numer 114 biura podróży, oferującego wyjazdy na safari, adwokata od spraw rozwodowych pod numerem 204, agencji zajmującej się zakładaniem przedsiębiorstw pod numerami od 300 do 311 albo prywatnej firmy telefonicznej, która wynajęła połowę czwartego piętra.

Roma Press Agency i stowarzyszenie Media Monitoring miały swoje pokoje na siódmym piętrze i kiedy tam wszedłem, pracowało w nich około dziesięciu młodych ludzi. Maria Hornáková miała niewiele ponad dwadzieścia lat, długie, czarne, błyszczące włosy, pod czarnymi brwiami czarne, lśniące oczy i była, jakby to powiedzieć? Była uosobieniem pięknej, młodej romskiej dziewczyny. Dopiero od paru tygodni przebywałem w tym kraju, a już zdarzało mi się, że identyfikowałem kogoś, jakby to było oczywiste, najpierw jako Roma, a potem dziwiłem się, że poznałem całkiem normalnego człowieka, który nie czuł się żadnym reprezentantem, tylko indywidualnością. Maria Hornáková oprowadziła mnie po pomieszczeniach i wyjaśniła, na czym polega jej praca. Podkreślała jednak, że jest tutaj tylko sekretarką i wprawdzie wykonuje swoje zadania chętnie, ale nie czuje się zobowiązana pracować akurat tutaj. Raczej była zadowolona, że znalazła dobrą posadę, co w przypadku młodych ludzi w Koszycach nie było wcale oczywiste, a w przypadku romskiej dziewczyny oznaczało szczęśliwy wyjątek. Wychowała się na wsi pół godziny drogi od Koszyc, rodzice posłali ją do szkoły. Tak się szczęśliwie złożyło, powiedziała, że w jej miejscowości było wprawdzie kilku Romów, ale nie za wielu, a pojedynczych dzieci z romskich rodzin, jeśli okazywały się pojętne, nie zwalniano z góry z obowiąz-

ku szkolnego. Jeśli jednak stanowiły jedną trzecią albo połowę liczby uczniów, to upychano je wszystkie razem w osobnych klasach. Dyrektorzy usprawiedliwiali to tym, że dzieci przychodziły do szkoły z dużymi brakami i tylko w specjalnych klasach mogły korzystać z nauczania odpowiedniego do ich poziomu. W rzeczywistości to najczęściej rodzice innych dzieci wywierali presję na kierownictwo szkoły, grożąc, że wyślą swoje pociechy do szkoły w innej miejscowości, jeśli będą one musiały siedzieć w jednej klasie z romskimi dziećmi. Maria Hornáková w każdym razie przebiła się i po szkole podstawowej uczęszczała do gimnazjum, które również ukończyła. Dążenia córki, która koniecznie chciała skończyć jeszcze wyższe studia, wspierała jej rodzina, co nie jest wprawdzie rzadkością, ale też bynajmniej nie jest regułą w romskich familiach.

Poza uprzedzeniami, lękiem i niewiedzą Białych problem stanowiły także uprzedzenia, lęk i niewiedza Romów. Przede wszystkim mężczyzn. Znajdowali się oni od dawna w pożałowania godnej sytuacji, w której też w pożałowania godny sposób trwali. Mężczyzna był tradycyjnie głową rodziny, a to, że rodzina była liczna, napawało go dumą. Ale nie miał jej już nic do zaoferowania. Zanikły zawody, w których kiedyś zarabiał na chleb, często w zapomnienie poszły nawet umiejętności, dzięki którym wykonywał swoje rzemiosło, a on sam zagubił się do tego stopnia, że nie potrafiłby już nawet wyremontować chaty, w której mieszkał. Jego pozycja w rodzinie opierała się na wytartym wspomnieniu lepszych czasów, które nigdy nie były dobre, ale lepsze od

dzisiejszych, na tradycji, która całkiem się rozpadła. Stał się patriarchą, za którego panowaniem nie przemawiało nic prócz tego, że istniało ono od zawsze. Pozycja mężczyzny jako głowy rodziny, którą należało respektować i która podejmowała za rodzinę ważne dla niej decyzje, stała się właściwie nie do utrzymania i dlatego też tylu mężczyzn broniło się przed posyłaniem swoich dzieci do szkół. Podczas gdy kobiety starały się, żeby dzieci we właściwym czasie opuszczały dom i same pilnowały swoich spraw, mężczyźni wyszydzaali takie postępowanie jako godne jedynie wyrachowanego gadzia, ale nie Roma. Nie chcieli dzieci, które wiedziałyby więcej od nich, a już zupełnie nie chcieli córek, które byłyby lepiej od nich wykształcone.

Jeśli za dziesięć, dwadzieścia lat wyrośnie nowe pokolenie Romów, które uczęszczało przynajmniej do szkoły podstawowej, to nic nie pozostanie z siły, godności i dumy tych mężczyzn. Już teraz życie upływało im na bezczynnym staniu i przeszkadzaniu kobietom w utrzymywaniu porządku w domu i wysyłaniu dzieci do szkoły. Wówczas jednak nie będą już nawet stać i z dumą udawać wolnych mężczyzn, którzy stoją sobie, bo tak im się podoba, tylko jak ostatni Indianie będą leżeć w błocie z butelką wódki w ręku.

Tego dnia dowiedziałem się wreszcie, na czym polega cnota krytyki. Musiałem w tym celu skończyć czterdzieści osiem lat, udać się na siódme piętro hotelu we wschodniej Słowacji, zapomnieć o wszystkim, czego nauczyłem się w Austrii, i posłuchać Krístiny Magdolenovej. Kiedy uprzejmi młodzi ludzie, pracujący przy komputerach w Roma Press Agency, mieli problemy, szli po radę lub otuchę do gabinetu redaktor naczelnej, którego drzwi były zawsze otwarte. Ci dwudziestolatki wie zajmowali się gromadzeniem wszelkich informacji o Romach, jakie na Słowacji i w całej Europie Wschodniej rozpowszechniały instytucje państwowe bądź prywatne. Nie tylko gromadzili te informacje, lecz także wykorzystywali je, oceniali, komentowali i kontynuowali badania w miejscu, w którym inni je przerwali. Poprzez Internet i w dwumiesięczniku „Rómske listy” udzielali potem kompetentnych wyjaśnień w kwestiach dotyczących politycznych, społecznych, prawnych czy kulturalnych problemów Romów. Wiele bowiem ataków przeciwko Romom poprzedzonych było sensacyjnymi doniesie-

niami w prasie i telewizji. Dziennikarze, którzy często wcale nie kierowali się rasistowskimi resentymentami, a jedynie działali pod presją konieczności codziennego serwowania sensacyjnych obrazów i podniecających historyjek, przed paroma laty odkryli Romów jako wdzięczny obiekt. Ich reportaże ze slumsów czy doniesienia o spektakularnych wypadkach samochodowych, bijatykach, sporach, w które zamieszani byli pojedynczy Romowie, narzucały Słowakom i deformowały w ich oczach obraz ludzi, których widywali codziennie, ale przecież prawie nie znali.

Krístina Magdolenová była przekonana, że dziennikarze tak nieobiektywnie informują o Romach i pokazują ich w mediach tylko wtedy, gdy dochodzi do jakichś niemiłych incydentów nie ze złej woli, lecz z niewiedzy. Nie tylko trupy, ranni, brawurowe akcje policji czy burdy sprowadzały dziennikarzy na miejsce zdarzenia. Lokalnym mediom wystarczało na przykład, że z powodu epidemii grypy zamknięto na tydzień jakąś szkołę, i już ekipa telewizyjna dokonywała najazdu na gminę i rozbiegała się w celu zdobycia potwierdzenia od zatroskanych rodziców, że choroba wybuchła najpierw wśród dzieci romskich, i od lekarza rejonowego, że poziom higieny na cygańskim osiedlu jest straszny. W czasie krótkiej wizyty na tym osiedlu, a takich osiedli jest na Słowacji około trzystu i budowano je zawsze u wylotu miejscowości, na terenach zamkniętych fabryk albo na należących do gminy bagnistych działkach, których nie można było wykorzystać w inny sposób, udawało się zrobić jeszcze parę sugestywnych zdjęć nędzy i zaniedbania,

i wieczorem poruszeni telewidzowie mogli obejrzyć, jak ich uprzedzenia przybierają na ekranie telewizyjnym wstrząsającą postać autentycznych relacji.

Nie tylko na Słowacji nędza, w jaką wpędza się jakąś grupę ludzi, rodzi nienawiść wobec tej grupy. Widok pokonanych jest tak porażający, że nawet oprawca zaczyna się przed sobą usprawiedliwiać i tłumaczyć, że tak naprawdę to jego zaatakowano i został zmuszony do obrony. Kto pokazuje ludzi zawsze tylko w ich ubóstwie, ten redukuje ich do niego albo w najlepszym razie robi z nich wieczne ofiary, które jedynie jako ofiary wydają mu się do zniesienia i którym nie przypisuje żadnych innych cech prócz właśnie takich, jakie predestynują je do tej roli. Pod płaszczykiem przesadnego, taniego współczucia prawie zawsze kryje się agresja. Obrazy grozy rozpowszechnia się tylko pozornie ze współczucia; w tych, którzy je oglądają, też nie budzą one współczucia, lecz strach. Niepokoi nas groza, która zawisła nad innymi, ponieważ czujemy niejasno, że nędzarze mogą się wyrwać ze swojej nędzy i zarazić nią nas.

Krístina Magdolenová uznała za swoje zadanie przeciwstawić coś temu ciąglemu bombardowaniu mieszkańców Słowacji sensacjami, okropnościami i opowieściami o nędzy. Żeby o Romach nie opowiadano ciągle tylko tak, jakby oni wszyscy byli biedni, chorzy i ciemni. Konieczne były krytyczne relacje pokazujące, że Romowie potrafili wydobyć się z nędzy, że udało się przewyciężyć niektóre choroby endemiczne i że ciemnota nie jest przeznaczeniem. Dlatego w swoim czasopiśmie informowała nie tylko o szkołach, w których praktykowany był apartheid,

ale także o innych, gdzie z powodzeniem próbowano prowadzić wspólne lekcje Białych i Czarnych. Piętnowała nie tylko codzienny rasizm, sportretowała także czterdziestoletniego Daniela Pompe, który pochodząc z dziewięcioosobowej rodziny romskiej, stał się w kieżmarskiej klinice powszechnie szanowanym specjalistą urologiem. Nie tylko Romów, także Białych uważała za zdolnych do nauki pod warunkiem, że otrzymają szansę kształcenia się i obrony przed zalewem obrazów epatujących nędzą. Ponieważ przyjechałem z kraju, w którym istnieje intelektualny obyczaj utożsamiania krytyki z przejaskrawianiem negatywnych zjawisk i w rezultacie sceptyczne umysły gorączkowo prześcigają się, któremu z nich świat w ogóle, a w szczególności Austria jako jego najbardziej podupadła część, jawi się w najczarniejszych kolorach, dziwiłem się stanowisku kobiety, wedle której krytyka miałaby polegać na zrównoważonym podejściu do rzeczywistości i postrzeganiu jej jako nie tak strasznej, czyli w moim austriackim pojęciu mniej krytycznie.

Krístina Magdolenová była w moim wieku, miała rude włosy, szczera, owalną twarz i łączyła w niezwykle sposób przenikliwość intelektu z macierzyńską pobłażliwością. Jednym zdaniem bezlitośnie zjechała ekspertyzę, którą przedłożył jej któryś z młodych współpracowników, choć zarazem nie ukrywała dumy z niego i całej swojej gromadki. Była w swoim czasie nauczycielką, dziennikarką i socjologiem na uniwersytecie, a tę agencję zbudowała skromnymi środkami, czyniąc z niej instancję jedyną w swoim rodzaju, i teraz, kiedy jej praca w końcu zaczęła przynosić efekty, nie wiedziała już, skąd zdobyć fundu-

sze na jej dalsze prowadzenie. Początkowo dostawała pieniądze także z Unii Europejskiej, obecnie cofnięto jej dotacje, bo im bliższe stawało się wejście Słowacji do Unii, tym bardziej rygorystycznie Unia ograniczała współpracę ze związkami i organizacjami niezależnymi od rządu lub wręcz opozycyjnymi.

Krístina Magdolenová, której cechą charakterystyczną była naturalna niezdolność do narzekania, nie skarżyła się na tę sytuację, mimo że zagrażała ona istnieniu jej agencji. Że od rządzących, bez względu na to, gdzie rządzą i decydują o podziale dóbr i pieniędzy, nie można oczekiwać, iż będą cię wspierali w działaniu, było dla niej tak samo oczywiste, jak co innego: że mimo to istniała konieczność robienia dalej tego, co koniecznie musiało być zrobione. Wskazywała na swoich współpracowników, młode kobiety i mężczyzn, Słowaków i Romów, którzy przez Internet łączyli się z bazami danych na świecie, a przecież nie tracili z oczu tego, co działo się w ich najbliższym otoczeniu. Nie wiedziała, co będzie dalej, ale była pewna, że na Słowacji zawsze będą młodzi ludzie, którzy nie pogodzą się z apartheidem w swoim sąsiedztwie.

Zbliżałem się do Preszowa od południa, gdzie odkryłem na mapie miejscowość o tej samej nazwie co miasto, w którym się wychowałem. Solivar, przyłączony dopiero w 1970 roku do rozrastającego się Preszowa, miał począwszy od XIII wieku, nosząc wówczas niemiecką nazwę Salzburg, duże znaczenie dla całego regionu, bo z jego bogatych źródeł solankowych pozyskiwano sól. Teraz mój Solivar sprawiał wrażenie pozbawionego jakiejkolwiek struktury przedmieścia, w którym, chociaż było małe, trudno mi się było zorientować. Pałac w samym środku miejscowości osiągnął już dawno stadium całkowitego rozpadu, między starymi kamienicami, które świadczyły jeszcze o dużej pewności siebie tej przemysłowej gminy, wyposażanej przez stulecia w królewskie przywileje, postawiono w ostatnim trzydziestoleciu bez żadnego planu wysokie i niskie budynki. Gdzieś pośród tej niepozornej kupy domów rozciągał się duży, wybiegający na wzgórze park, w którym kilku dziesięciolatków na zmianę to paliło, to grało w piłkę. Miejskie ulice, z których kilka przypominało jeszcze

wspaniałe aleje, jakimi zapewne kiedyś były, przechodziły nagle w drogi prowadzące do małych ogródków warzywnych. Jakieś zagubienie rozpościerało się nad tym miejscem, powodując, że pogrążyłem się w smętnych rozmyślaniach o tym, jak potoczyłoby się moje życie, gdybym urodził się w tym, a nie w tamtym, słynnym na cały świat Salzburgu.

Pośrodku pochyłego parku z trawnikiem nasiąkniętym wodą z roztopów stał płaski czworokątny budynek szybu Leopold, którym górnicy zjeżdżali na dół aż do czasu, kiedy wody gruntowe zatopiły sztolnie, kilkunastu górników utonęło, a w Solivarze opracowano inny, wczesnoprzemysłowy sposób pozyskiwania soli. Kilkaset metrów od tego miejsca królowała na jednym ze wzgórz tak zwana Klepaczka, wąska, drewniana wieża, która kiedyś wzywała górników do zjazdu na dół.

Chodziłem już dobrą godzinę i wciąż nie mogłem znaleźć Komór, przedstawionej na zdjęciu w najnowszym słowackim przewodniku historii sztuki dużej barokowej budowli z dobudowanymi później klasycystycznymi arkadami, niegdyś służącej za magazyn soli. W końcu zapytałem obserwującego mnie od dłuższego czasu mężczyznę, który wydawał się tylko czekać na to, żeby mi służyć pomocą, gdzie, na Boga, można znaleźć tę najdumniejszą budowlę Solivaru. Mężczyzna spojrzał przelotnie na zdjęcie w przewodniku, potem roześmiał się i opowiedział mi o nocy sprzed dwudziestu czterech lat, kiedy to Komory spłonęły, a on sam został ojcem. W mieście paliło się na całego, a w Preszowie jego żona wydała na świat ich jedyne dziecko, co za noc!

Mężczyzna, lekko przygarbiony i jakby powłóczący nogami, dotrzymywał mi teraz towarzystwa, opowiadając różne rzeczy, których dokładnie nie rozumiałem. Zwrócił mi uwagę, że jesteśmy właśnie w dzielnicy Solivaru zwanej Svaby, ponieważ dawniej mieszkali tu sami Niemcy. Nie byli to niemieccy Spiszacy, którzy osiedlali się przeważnie w miastach i wsiach pobliskiej krainy o nazwie Spisz, lecz Szwabi, którzy ściągnęli dopiero setki lat po Spiszakach, dokładnie licząc podobno czterdzieści osiem rodzin, które habsburski cesarz Józef II z niewiadomych powodów wysłał akurat do Solivaru.

Wszędzie na Słowacji natrafiałem, podobnie jak w Solivarze na Svaby, na przysiółki, wioski, dzielnice miast, których nazwy świadczyły o dawno zapomnianych osadnikach i o historii kraju, którym od niepamiętnych czasów dzieliły się liczne narody.

Niedaleko polskiej granicy w ruskiej wiosce z pięknym greckokatolickim drewnianym kościołem znalazłem się nagle w Wenecji, gdzie setki lat temu osiedlili się dmuchacze szkła z Wenecji; także na Spiszu natrafiłem na ślady włoskich osadników, choćby w nazwach miejscowości z dodatkiem „vlachy”, odsyłającym do „Wołochów”, którzy dawno już się stąd wynieśli albo wtopili we wcześniej tu osiadłych Słowaków, Węgrów, Niemców. Jakby trochę zażenowany, że tak chętnie udziela mi informacji, mężczyzna przyznał, że miejscowa historia to jego hobby. Doszliśmy do jego domu, brzydkiego jak wszystkie inne, z potężną żelazną bramą ogrodową, tak elegancko wykonaną, że musiała kiedyś ogradzać jakąś bez porównania piękniejszą posiadłość.

Kiedy dziękowałem temu przygarbionemu mężczyźnie i ściszałem mu dłoń, z domu wyszło jakieś monstrum, młody człowiek stworzony do roli Spartakusa w amerykańskim filmie kostiumowym. Tacy monstrualni synowie przychodzą na świat tylko podczas szczególnych nocy. Pavol był gigantyczną kopią przygarbionej postaci swego ojca, a uprzejmość, która u ojca musiała się przebijać przez nieśmiałość, u syna przybrała wymiar hałaśliwej dobroduszości. Pavol nie odmówił sobie odwiezienia mnie samochodem do oddalonego o cztery kilometry centrum Preszowa. Wypytywał mnie perfekcyjną angielszczyzną o życie w Europie, jak nazywał to, co leży na zachód od Słowacji, i dziwił się, dlaczego tak mało Europejczyków przyjeżdża do Preszowa, tak że po raz pierwszy ma okazję wieść jednego z nich.

Preszów jest miastem liczącym sto tysięcy mieszkańców i zanim Pavol wysadził mnie w pobliżu strefy dla pieszych, jechaliśmy przez postrzępione obrzeża dzielnicy przemysłowej. Wsiadłem na końcu olbrzymiego placu, który podobnie jak Hlavné námestie w Koszycach składał się właściwie z dwóch ulic i stopniowo coraz bardziej rozszerzającej się płaszczyzny między nimi. Niecałe pięćdziesiąt metrów przede mną wznosił się kościół, wtopiony między frontony dwóch imponujących budowli, pałacu biskupiego i wydziału teologii, jak się później dowiedziałem.

Kiedy przechodziłem obok drzwi wejściowych, uderzyła mnie wydobywająca się z kościoła osobliwa cisza. Był to ten rodzaj ciszy, którą można usłyszeć i która zapada tylko wtedy, kiedy duża liczba osób stojących razem pogrążona jest we wspólnym milczeniu. To nie jest cisza nieobecnych, lecz słyszalna, ożywiona cisza obecnych ludzi. Był kwiecień, piątkowe popołudnie, dwa dni przed Niedzielą Palmową. Otworzyłem drzwi i od razu w przedsionku znalazłem się pośród może

sześćdziesięciu ciasno stłoczonych wiernych. Po prawej i lewej stronie przedsionka stały dwa konfesjonały i ludzie: kruche staruszki i młodzi chłopcy, poważni panowie, mający z pewnością szczególną pozycję w życiu zawodowym, i młode, modnie ubrane kobiety, jakie zazwyczaj widzimy w kawiarniach z papierosem i komórką w ręce — wszyscy czekali na spowiedź.

Preszów zawsze był miastem wielu narodów i także teraz jest wciąż jeszcze miastem wielu narodów, aczkolwiek już innych. Jeśli początkowo większość stanowili tu Węgrzy, którzy nazywali to miasto Epuryes, a później Niemcy, używający nazwy Eperies, to do końca XVIII wieku z okolicznych wiosek napłynęło tak wielu Słowaków, że z Epuryes i Eperies powstał słowacki Prešov. Ja zaś wszedłem do starego kościoła św. Jana Chrzciciela, od ponad stu lat pełniącego funkcję katedry kościoła greckokatolickiego, zatem odwiedzanego przede wszystkim przez Rusinów. Ze spisu ludności z roku 2001 wynika, że po Słowakach właśnie Romowie i Rusini stanowią w okręgu preszowskim największe grupy narodowościowe. Równie mało jak o swoich Romach, których największe organizacje właśnie tutaj mają swoje siedziby, wiedzą Słowacy o Rusinach, którzy skądinąd całkowicie zintegrowali się ze społeczeństwem i nie muszą się na nic skarżyć. Niektórzy Słowacy, których o to pytałem, uważali Rusinów za Rosjan, których los rzucił w te strony — pomyłka, spowodowana między innymi tym, że tę grupę etniczną nazywają gdzieś indziej Rusami. Inni uważali, że to żyjący na terytorium Słowacji Ukraińcy, sami określający się jako Rusini. Już dawno przestałem

się dziwić temu, jak mało wiedzą o sobie nawzajem narodowości żyjące tak blisko siebie, ba, poprzez małżeństwa po tysiącokroć ze sobą powiązane. To, że Austriacy nie mają pojęcia o austriackich Słoweńcach czy Chorwatach, że nic nie wiedzą o Słowakach w Wiedniu ani o Węgrach czy Romach w Burgenlandzie — do tej niewiedzy byłem przyzwyczajony. Tu, na Słowacji, w państwie, które bądź co bądź przyznało swoim obywatelom wolność wyboru między piętnastoma różnymi narodowościami, znowu zwróciło to moją uwagę i zaczęło przeszkadzać.

Rusini, językowo spokrewnieni z Ukraińcami, są wschodniosłowiańską grupą etniczną liczącą obecnie, według swoich heroldów, prawie dwa miliony ludzi. Około osiemset tysięcy żyje na obszarze ukraińskiego obwodu administracyjnego, oficjalnie nazwanego Ukrainą Zakarpacką, którego najprawdziwszą metropolią jest Użhorod i który zaczyna się zaraz za słowacką granicą, a sięga aż po opiewaną przez tak wielu poetów dawnej Austrii, zwłaszcza żydowskich, rzekę Prut. Do 1918 roku wszyscy Rusini przynależeli do jednego państwa, monarchii habsburskiej. Od tego czasu historia, której byli przeważnie tylko igraszką, zmuszała ich do coraz to innej przynależności państwowej. Poza Słowacją także w Polsce, na Węgrzech, w Rumunii i serbskiej Wojwodinie znajdują się obecnie liczne ruskie wspólnoty, nie mówiąc już o USA, gdzie od dobrych dziesięciu lat ruskość przeżywa w diasporze nieoczekiwany i problematyczny renesans. Poprzez Internet tysiące Amerykanów próbuje wysledzić swoje korzenie jako „Carpatho-Rusyns” i wykazy genealogiczne, powstałe na ich stronach sieciowych,

wirtualnie zasiedliły już na nowo obszary, które opuścili ich przodkowie.

Rusini przynależą w większości do kościoła greckokatolickiego. Wszędzie na wschodzie Europy, gdzie katolicyzm zderzał się z konkurencją prawosławia, tak zwykle surowa zwierzchność w dalekim Watykanie tolerowała formy religijne i tworzyła instytucje, które tę pod wieloma względami spokrewnioną z prawosławiem religijność miały zatrzymać pod dachem kościoła katolickiego. Greckokatolicki rytuał jest blisko spokrewniony z obrządkiem prawosławnym, ale jego punktem odniesienia jest jednak macierzysty kościół katolicki. Duchowni greckokatoliccy są popami, którzy mogą się żenić, ale uznają jednocześnie papieża za swojego zwierzchnika.

Spowiedź, jak się przekonałem, nie jest tutaj intymnym aktem, który powinien być respektowany nawet przez władzę świecką, jak u nas, lecz sprawą na wprost publiczną. Pop wprawdzie siedział schowany w konfesjonale, grzesznicy jednak klęczeli na zewnątrz i wyznając niewidocznemu duchownemu przez drewnianą kratkę swoje uchybienia, czynili to cały czas w sposób widoczny dla wspólnoty. Zapewne także słyszalny, ponieważ kolejka czekających tłoczyła się tuż za spowiadającym się i w ciszy słyhać było stłumiony szept dobiegający od obu konfesjonałów. Z lewego konfesjonału podniosła się ubogo odziana staruszka z przewieszoną przez ramię torbą na zakupy i odchodząc ze złożonymi dłońmi, od razu zaczęła klepać modlitwy jako wyznaczoną jej pokutę. Młoda kobieta w butach na wysokich obcasach, wbita w obcisłe dzinsy, umalowana, jakby wybierała się

do dyskoteki, chciała właśnie uklęknąć na zwolnionym miejscu przy konfesjonale, kiedy otworzyły się jego drzwiczki. Pojawiła się w nich biała jak mleko twarz, okolona rudymi lokami i gęstą, rudawą brodą, po czym, niedbałym gestem wskazując na konfesjonał po drugiej stronie, ukazał się słusznej postury pop, mający niewiele ponad dwadzieścia pięć lat, cały wypełniony świadomością swojego stanu, nie tylko duchowny, ale także młody mężczyzna, całkowicie świadomy swojej ekspresji erotycznej; zdawało się nawet, że uważa ją za część swojej misji religijnej. W kościele prawosławnym męska siła przenika liturgię aż po śpiewane grzmiącym basem pieśni. W tym młodzieńcu, który lewą ręką sięgnął do konfesjonału i wydobyl wystrzałowy plecak, żeby zarzucić go sobie na ramię, w tym młodym mężczyźnie, który krocząc teraz w swojej powłóczystej szacie przez rozstępujący się przed nim pułk wiernych, opuścił kościół, skoncentrował się cały eros prawosławia, w której popi nie są wolnymi od cielesnych żądz duchownymi ani spasionymi klechami, usypiającymi zmysły zwyczajowym obżarstwem i opilstwem, lecz prawdziwymi, pewnymi swej religijnej misji i roli mężczyznami. Nie potrafiłem się powstrzymać, żeby nie spojrzeć na ową młodą kobietę, którą jej rówieśnik pop pogardliwym gestem odesłał do innego konfesjonału. Musiała być przecież urażona, czuć się odepchnięta, i rzeczywiście, przygryzała, bardziej zawstydzona, jak mi się zdawało, niż rozgniewana, jaskrawo wymalowane wargi.

Zauważyłem ze zdziwieniem, że wpadłem w jakąś osobliwą złość, która kazała mi mieć nadzieję, że ta

młoda kobieta niezwłocznie opuści kościół, żeby nigdy więcej nie przystąpić do spowiedzi, i tę ogarniającą mnie dziwną niechęć do kościoła greckokatolickiego razem z jego kultem męskości potrafiłem sobie wytłumaczyć jedynie tym, że najwidoczniej po raz pierwszy w życiu poczułem coś w rodzaju zazdrości o księdza, tego rudowłosego dandysa, który chociaż miał jeszcze mleko pod nosem, sprawiał wrażenie, jakby grzechy młodych kobiet w ogóle go nie interesowały i którego nawet ludzie w wieku jego dziadków nazywali ojcem.

Imrich Konya należał do tych zrównoważonych starszych panów, jakich często spotykałem na wschodzie i południu Europy: nobliwy, wykształcony mężczyzna, roztaczający wokół siebie aurę spokojnej rezygnacji, który z subtelną ironią podsumowywał to, co się wydarzyło, i bez goryczy patrzył w przyszłość, której miało już nie być. Przypominał mi uczonego i eleganckiego Don Trupo w kalabryjskiej Civitá, który odprawiał po albańsku mszę dla garstki starych kobiet, ponieważ albańska grupa etniczna na południu Włoch się rozpadła. Przypominał też starców w macedońskiej Bitoli, którzy przychodzili w niedzielnych garniturach, żeby objaśniać mi osobliwości prawie już nieistniejącej architektury aromuńskiej. I Moshe Albahariego, który czekał w zadymionym przedsionku żydowskiej gminy w Sarajewie, żeby opowiedzieć komuś historię Sefardyjczyków; zawsze kończył ją stwierdzeniem, że przyszłością tej historii jest cmentarz.

Pierwszy Żyd w Preszowie nazywał się Marcus albo Marek Holländer i przypuszczalnie w 1783 roku uzyskał

obywatelstwo tego miasta. Imrich Konya jest jednym z ostatnich Żydów w Preszowie i zajmuje się oprowadzaniem po synagodze, gdzie ulokowane jest także małe muzeum.

Postanowiłem poświęcić tylko dwa dni na to miasto i chciałem możliwie jak najszybciej nawiązać kontakt z jedną z romskich organizacji, żeby się poradzić, jak najlepiej dotrzeć do romskich gmin otaczających Preszów. W Preszowie, mieście wielu narodów, nie ma już prawie Niemców ani Węgrów. Ale nigdzie na Słowacji nie ma tylu romskich stowarzyszeń co tutaj, a na uniwersytecie, mającym czcigodne tradycje sięgające czasów Kolegium Ewangelickiego przy głównym placu, jest osobna katedra, gdzie bada się i wyklada kulturę, język i historię Rusinów. Preszów miał też kiedyś jedną z największych gmin żydowskich na Słowacji, mimo że aż do końca XVIII wieku Żydom nie wolno było się w nim osiedlać. Inne rozporządzenie pobożnej Marii Teresy zabraniało im zatrzymywać się w Preszowie na dłużej niż trzy dni i dopiero za czasów jej syna, Józefa II, udało się owemu Marcusowi Holländerowi, handlarzowi z galicyjskiego Tarnopola, osiąść tutaj na stałe. Sto pięćdziesiąt lat pozostało gminom żydowskim, żeby się rozwinąć i przyczynić do tego, by miasto, które po upadku średniowiecznych bractw i organizacji cechowych straciło dawne znaczenie, rozkwitło na nowo. Później, między marcem a październikiem 1942 roku, ponad sześć tysięcy preszowskich Żydów deportowano do obozów zagłady.

W górnej części głównego placu skręciłem bez żadnego planu w odchodzącą w lewo boczną ulicę i po

przejściu kilku metrów stanąłem na czymś w rodzaju wewnętrznego dziedzińca. Tylne front tworzyła pomalowana na żółto imponująca synagoga, przed nią zaś na skrawku trawnika stała pamiątkowa tablica, której napisu nie zdążyłem jeszcze odcyfrować, kiedy podszedł do mnie bezszelestnie starszy mężczyzna trzymający w ręku wielki klucz i zapytał, czy chciałbym zwiedzić synagogę i muzeum. Wskazał na inne budynki wokół dziedzińca i wyjaśnił po niemiecku, że jaskrawoczerwony dom, w którym mieści się teraz firma ubezpieczeniowa, był kiedyś synagogą Aszkenazyjczyków. W przylegającym do niej parterowym budynku, który wyglądał jak jakiś warsztat, mieli sklepy czterech koszerni rzeźnicy preszowscy, dom naprzeciwko, w którym teraz ma swoje biuro firma komputerowa, zbudowany został na potrzeby żydowskiej szkoły, obok zaś mieszkał rabin. Ten na oko siedemdziesięcioletni mężczyzna zadawał sobie trud, żeby poprawiać błędy gramatyczne, które przytrafiały mu się podczas mówienia. Zapytałem, skąd tak dobrze zna niemiecki. — Ach — powiedział i wykonał ręką bagatelizujący gest. — To długa historia, za długa.

Sprawił wrażenie przekonanego, że obcemu człowiekowi w moim wieku nie będzie mógł tej historii wytłumaczyć.

Około 1900 roku modlono się w Preszowie w pięciu synagogach, ta zaś, przed którą właśnie staliśmy, jedyna, w której jeszcze dziś podczas szabasu spotyka się mała grupka wiernych, należała do wspólnoty ortodoksyjnej. Wzniesiono ją w 1888 roku w mauretańskim

stylu, a przed kilku laty pieczołowicie odrestaurowano. Atmosferę tego dużego, wysokiego pomieszczenia określał kolor niebieski, błękit, przechodzący od ciemnej tonacji sufitu w różne jaśniejsze odcienie delikatnych wzorów ornamentalnych. Znajdowaliśmy się na emporze i patrzyliśmy na salę modlitw, w której stały ławki dla co najmniej stu osób. Przychodziło jednak zawsze tylko tylu ludzi, że ledwie starczało, żeby świętować szabas zgodnie z przepisami. Ilu Żydów żyje dzisiaj w Preszowie? Imrich Konya wzruszył ramionami, kto wie, może dwudziestu, może osiemdziesięciu. Ale, dodał z ulgą, muzeum odwiedza co roku prawie dwa tysiące osób z całego świata, nawet z Ameryki. W 1989 roku także przyjechali Amerykanie, choć akurat ta wizyta nie była przyjemna. Obejrzelі skrupulatnie synagogę i złożyli biedującej, zaawansowanej wiekowo gminie ofertę. Pacific Jewish Center zamierzało rozebrać synagogę kamień po kamieniu i z całym inwentarzem przewieźć do Los Angeles, gdzie miano ją kamień po kamieniu na nowo złożyć i wyposażyć w oryginalne sprzęty. Znaleźli się wtedy ludzie, którzy uważali to za właściwe, ponieważ gmina żydowska nigdy się już nie podniosła po szoah i większość Żydów, którzy przeżyli, wyjechała w następnych latach do USA albo do Izraela. W końcu przeważało jednak zdanie tych, którzy nie mogli ścierpieć, żeby tak po prostu sprzedać dom boży i patrzeć, jak się go pakuje i przygotowuje do transportu za ocean.

Może moje uwagi sprawiły, że wydałem mu się pojętny i godny pouczenia, Imrich Konya bowiem nieoczekiwa-

nie odpowiedział na pytanie, które zadałem mu przed godziną: — Wie pan, jidysz nie odbiega zbyt od niemieckiego.

Ponieważ wiedziałem o tym, a do tego okazałem zdziwienie, że siedemdziesięcioletni obecnie mężczyzna miałby wyrastać na Słowacji, posługując się jeszcze tym językiem, pogodził się ze swoim losem, zebrał nieco sił i... to, co nastąpiło, było uczonym wykładem.

Wielu Żydów przywędrowało tu przed dwoma, trzema wiekami z Galicji. Ponieważ ich przodkowie kilka pokoleń wcześniej uciekli na wschód z Niemiec, mówili językiem jidysz, który powstał, jak wiadomo, jako niemiecki dialekt, ale w słowiańskim otoczeniu stał się ich własnym językiem mieszanym. Co prawda w XIX wieku okoliczni oświeceni, wykształceni Żydzi madziaryzowali się w dużym stopniu, uważali się za Węgrów, mówili po węgiersku, a podczas rewolucji 1848 roku wspierali Węgrów w ich walce o niepodległość: i tak Leo Holländer, syn pierwszych Żydów z Preszowa, służył w armii rewolucyjnej w stopniu majora, a legendarny rabin dr Schiller-Szinessy tak energicznie działał na rzecz rewolucji i ustanowienia republiki, że został potem przez Habsburgów skazany na śmierć. Ale na Słowacji spotykało się nie tylko wykształconych i zamożnych Żydów, większość była niewykształcona i żyła w biedzie po wsiach. Właśnie wśród nich przeżył jidysz.

— A co się stało z rabinem?

— Uciekł do Anglii. To był geniusz.

— Schiller i Szinessy, czy to nie dziwne nazwiska w przypadku słowackiego rabina?

— Nie, zupełnie nie, on był pół Niemcem, pół Węgrem. Nic w tym szczególnego. Szczególne było w nim zupełnie co innego. Był mianowicie pierwszym rabinem, który tu mieszkał. I jednocześnie pierwszym Żydem w Preszowie, który musiał emigrować. Pierwszy tutejszy rabin i musiał opuścić Preszów!

— Ale nie dlatego, że był Żydem!

— Nie, dlatego że był za wolnością.

— A co robił w Anglii?

— Wie pan, on był nie tylko pierwszym rabinem z Preszowa i pierwszym Żydem, który musiał emigrować, ale także pierwszym Żydem, który został profesorem na uniwersytecie w Cambridge. Nie chciałbym, żeby pan mnie wspominał jako hochsztaplera. Ale tak właśnie jest, że pierwszym żydowskim profesorem w Cambridge był skazany na śmierć rabin z Preszowa, i nie mogę kłamać tylko dlatego, że trudno w to uwierzyć, naprawdę.

Michal i Ján byli po pierwsze Amerykanami, po drugie Europejczykami i po trzecie Słowakami. Andrejko był po pierwsze Amerykaninem, po drugie Rusinem, po trzecie Słowakiem i po czwarte Europejczykiem. Spotkałem ich w preszowskiej restauracji Fontana. Ponieważ zrezygnowałem z poszukiwania na Słowacji słowackiego jedzenia, poszedłem od razu do restauracji o włoskiej nazwie w nadziei, że znajdę tam powszechnie oferowane dania włoskiej kuchni przygotowane fachową ręką. Restauracja Fontana mieściła się na pierwszym piętrze jednego z domów w rynku, była urządzona w stylu, który należałoby może nazwać neowłoskim, i dziwnym trafem miała w karcie poza nielicznymi standardowymi potrawami włoskiej kuchni przede wszystkim specjalności słowackie. Przy sąsiednim stoliku siedzieli trzej studenci, którzy sami jedli spaghetti, ale byli zachwyceni, że mogą mi objaśnić, czym się charakteryzują poszczególne słowackie potrawy. Zdecydowałem się z powodu nazwy na *domácastnica kapustnica s kolbásom a undeným mäsom* i podbiłem słowacką młodzież, kiedy po paru próbach

udało mi się wyrecytować tę nazwę z pamięci. Chodziło o specjalność zakładu, kapuśniak z kostkami nie tyle ostrej, co tłustej kielbasy i kawałkami wędzonki. Smakował znakomicie i dla żołądków ludzi, którzy przekroczyli już 'wiek studencki, był potrawą raczej niezdrową.

Cała trójka studiowała w Bratysławie i właśnie jechała na ferie wielkanocne do domu. Mieszkali w Svídniku, mieście oddalonym około sześćdziesięciu kilometrów na północny wschód od Preszowa, tutaj zaś odwiedzili szkolną koleżankę, obecnie studentkę miejscowego uniwersytetu. Co roku latali razem na dziesięć tygodni do USA, gdzie na Środkowym Zachodzie pracowali w barach szybkiej obsługi, motelach albo na stacjach benzynowych, i mimo że ich wynagrodzenie jak na amerykańskie stosunki było niskie, zarabiali tyle, że mogli potem w Bratysławie przez cały rok pozwolić sobie na niejedno. Opowiadali, że w USA w taki sam sposób jak oni spędza lato cała kolonia słowackich studentów, ucząc się angielskiego, poznając trochę kraj i zarabiając furę pieniędzy. W Ameryce wszystko im się podobało, tylko z Amerykankami nic im nie wychodziło. Żaden z nich nie dorobił się amerykańskiej przyjaciółki, co po trzech sezonach w Stanach było trochę żenujące. Przyglądałem się tym chłopakom i próbowałem sobie wyobrazić, czy podobaliby mi się, gdybym był Amerykanką, ich rówieśnicą. Ale nie posunąłem się w tych wyobrażeniach zbyt daleko, przypuszczalnie dlatego, że trudno było wymagać od siebie od razu potrójnej zmiany — kultury, wieku i płci. Chłopcy wyglądali tak, jak wyglądają teraz młodzi ludzie wszędzie w Europie, i mogliby równie

dobrze mieszkać w Bergamo, Hanowerze albo Hilversum. Mieszkali jednak na Słowacji i uważali, że w Ameryce wszystko jest lepsze z wyjątkiem miast, które na Słowacji były piękniejsze, i dziewcząt naturalnie, które były tutaj mniej pruderyjne.

Unię Europejską uważali za prawie tak dobrą jak Stany Zjednoczone, a ponieważ leżała bliżej i Słowacji łatwiej było stać się szesnastym członkiem Unii Europejskiej niż pięćdziesiątym pierwszym stanem USA, postanowili odczuwać europejski entuzjazm. Mówili doskonale po amerykańsku, a po niemiecku tak dobrze jak ja po angielsku. Było dla mnie zupełnie oczywiste, że ci rozgarnięci, ambitni, sprawni językowo, ciekawi świata młodzi Słowacy to siedząca naprzeciw mnie przyszłość Europy. To oni ze swoją zdolnością przyswajania nowych rzeczy i pragnieniem dokonania czegoś w Europie zostaną tymi, którzy przez najbliższe pięćdziesiąt lat będą kształtować losy tego kontynentu. Do Słowacji, jako kraju swojego pochodzenia, nie żywili niechęci, tyle że Słowacja nie była w stanie wydobyć się samodzielnie z kryzysu gospodarczego i społecznego zacofania. Tęsknili za dużą Europą, ale wcale nie dlatego że nienawidzili swojego państewka, tylko dlatego, że je lubili i mieli nadzieję, że jako członkowi Unii będzie mu się wiodło lepiej.

Zauważyłem, że Michal i Ján próbowali prowokować trzeciego z nich. Andrejko studiował prawo międzynarodowe i był podobnie jak oni entuzjastą Ameryki. Dla Rusina było to samo przez się zrozumiałe, nie tylko z tego powodu, że większość Rusinów żyła w USA, a najślawniejszy Rusin, Andy Warhol, był Amerykaninem, ale

także dlatego, że Rusini zawsze żyli pospół z innymi narodowościami, więc Stany Zjednoczone uchodziły wśród nich za wzór państwa. Oczywiście Andrejko był nie tylko Rusinem, ale także Słowakiem i opowiadał o swoim kraju z większą może nawet wyrozumiałością niż jego przyjaciele. Ale w przeciwieństwie do nich nie mógł być, niestety, zapalonym Europejczykiem i to zdawało się sprawiać mu ból. Kiedy jako Słowak cieszył się, że jego kraj pewnego dnia będzie należał do Unii Europejskiej, to jako Rusin musiał się tego dnia obawiać.

Po rozpadzie c.k. monarchii pierwsza republika czechosłowacka zarządzała wschodnią prowincją, leżącą nieskończenie daleko od Pragi i noszącą miano Ukrainy Zakarpackiej. W tej pokrytej lasami odległej górskiej krainie żyli Żydzi, Romowie, Rusini i wiele innych narodowości. Kiedy na przełomie 1938 i 1939 roku narodowi socjaliści rozbili Czechosłowację, Ukraina Zakarpacka uzyskała na sześć miesięcy niepewną autonomię, potem zaś przypadła Węgrom, którzy już w 1918 roku rościli pretensje do tego ogromnego obszaru. W czasie drugiej wojny światowej doszło tutaj do zorganizowanego ludobójstwa na Żydach i Romach. Potem cały ten region, z wyjątkiem wąskiego pasa, który przyznano Czechosłowackiej Republice Ludowej, przypadł Związkowi Radzieckiemu. Większość Rusinów stała się obywatelami Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, która natychmiast ogłosiła ich Ukraińcami, a ich greckokatolicki kościół podporządkowała ortodoksyjnemu patriarsze Kijowa.

Dopiero w 1989 roku, kiedy w Moskwie i Kijowie podobnie jak w Pradze i Bratysławie runął realny socjalizm, osiemset tysięcy Rusinów na Ukrainie mogło znowu zacząć się organizować w związki kulturalne i nawiązywać kontakty z Rusinami na Słowacji. Ani jedni, ani drudzy nie domagali się własnego państwa, ale to, że ze słowackiego Preszowa znowu można było bez kłopotów jeździć do ukraińskiego Użhorodu, że ludowe zespoły taneczne z obu krajów mogły prezentować sobie nawzajem dawne tańce, a młodzi poeci czytać nawzajem wywrotowe wiersze, było prawem, które odzyskali i którego nie zamierzali dać sobie odebrać. Stało się jednak inaczej. Ledwo granica na kilka lat stała się przepuszczalna, już czuć groźbę, że znów będzie dzielić kolejne pokolenia. Słowacja, dążąc do wstąpienia do Unii Europejskiej, osiągnęła to, że jej granica z Ukrainą stała się zewnętrzną granicą wspólnoty. Że ta granica będzie nie do pokonania dla wszelkiej maści głodomorów z wielkiego obszaru Ukrainy, sięgającego aż po Daleki Wschód, za to Słowacja odpowiada teraz przed Unią.

Andrejko wyglądał na zakłopotanego, kiedy mi to wszystko objaśniał. Najchętniej byłby zapalonym Europejczykiem bez żadnych uprzedzeń, tak jak jego obydwaj przyjaciele, ale dla Rusinów Unia Europejska oznaczała nie tylko, że znikną granice, ale także że powstanie nowa, zagrażająca ich egzystencji. Słowacy stali się bogatsi o Europę, Rusini biedniejsi o Ukrainę. Andrejko był jednym i drugim i granica Europy przecinała jego serce.

Początkowo nie umiałem powiedzieć, co stanowiło o brzydocie Svídnika. Czy moi trzej przewodnicy zdawali sobie w ogóle sprawę, do jakiej paskudnej miejscowości mnie przywieźli? Kiedy zaproponowali, że pokażą mi miasto, z którego pochodzą i gdzie w wakacje leniuchują u rodziny, jeśli akurat nie harują w Stanach, nie musieli mnie długo przekonywać. Jechaliśmy rozrzutnie szeroką, mało uczęszczaną trasą szybkiego ruchu. Ludzie po obu stronach drogi zajęci byli zbieraniem badyli, składaniem ich na kupy i paleniem, jakby chodziło o to, żeby wielkanocne porządki przenieść z domów na łąki i pola. Wszyscy bez wyjątku byli Romami — uwijali się, uzbrojeni w miotły, motyki, szufle i grabie. Nigdzie we wsiach, przez które przejeżdżaliśmy, nie stali bezczynnie, co tak często widziałem gdzie indziej na Słowacji, tylko zdążali do jakiegoś celu. Byliśmy już bliżej polskiej granicy na północy niż węgierskiej na południu i dość niedaleko granicy ukraińskiej na wschodzie. W Giraltovcach, małym miasteczku jakieś dwadzieścia kilometrów od Svídnika, po raz pierwszy,

odkąd znalazłem się na Słowacji, zobaczyłem Czarnego i Białego, Roma i gadzia rozmawiających i śmiejących się razem na ulicy.

Tak, powiedzieli moi przyjaciele, którzy usiłowali zawsze odgadnąć po mojej minie, o czym akurat myślę i co w ich kraju zwraca moją uwagę, tutaj Romowie rzeczywiście zintegrowali się ze społeczeństwem. Wielu z nich pracowało w gospodarstwach rolnych i osiedla romskie na obrzeżach wsi, przez które przejeżdżaliśmy, wyglądały lepiej od tych, które poznałem na Spiszu czy w okolicach Koszyc i Preszowa. Pomyślałem, że tutejsi Romowie widocznie znajdowali pracę w rolnictwie i z tego powodu byli lepiej postrzegani niż gdzie indziej. Moi przyjaciele zaprzeczyli jednak, twierdząc, że było dokładnie odwrotnie. Tutejsi Romowie mieli pracę, ponieważ byli pracowitsi od innych. Bo Romowie, którzy żyli tutaj, byli potomkami dawnych dobrych Cyganów. O tych słyszałem już nieraz i wielu ludzi, którzy psioczyli na będących na bakier z prawem, zdeprawowanych Romów, chwaliło jednocześnie dawnych Cyganów, porządných i skromnych. Przyznawali wprawdzie sami, że dawniej wykorzystywano ich w całym kraju jako wędrownych robotników, podczas gdy dzisiaj byli bezrobotni i żyli w slumsach, ale że obecna sytuacja Romów wiąże się z gospodarką kraju, a nie z psychologią Romów, było dla większości moich informatorów zupełnie niepojęte. Nie, to była kwestia charakteru, a nie ekonomii — także moi trzech przyjaciele byli przekonani, że od samych Romów zależy, czy będą akceptowani, tolerowani, odrzuceni, czy prześladowani. I że Romowie tutaj, na północnym

wschodzie kraju, są całkiem inni niż ci na południu albo na Spiszu.

Przypomniałem sobie moją podróż na Spisz, którą odbyłem rok wcześniej. Właściwie to chciałem się wtedy przyjrzeć tamtejszym Niemcom: ponad pięć tysięcy osób opowiedziało się podczas spisu ludności w 2001 roku za przynależnością do niemieckiej grupy narodowościowej, która potrafiła przez osiemset lat czerpać z tego regionu względny dobrobyt, a od feudalnych panów z Austrii i Węgier uzyskiwać zdumiewające prawa i wolności obywatelskie. Większość miast, które założyli Spiszacy, podzielona była teraz na dwie części. W jednej, porządnie utrzymanej, żyli Słowacy i pośród nich jeszcze niektórzy spiscy Niemcy, mówiący coraz bardziej łamaną gwarą przodków, a w drugiej części, która wydawała się jakby wyrastać ze śmietniska, wyłącznie Romowie. Socjalistyczna władza próbowała osiedlać Romów wszędzie tam, skąd w 1945 roku wypędzono Niemców. Spiszacy, którzy uniknęli wypędzenia albo po paru latach wrócili z syberyjskich kopalń bądź słowackich obozów pracy, nienawidzili za to Romów. Wiedzieli, że nie wtargnęli oni z własnej woli do spiskich osiedli. Ale w przeciwieństwie do Słowaków, którzy urządzili się w niemieckich wsiach, Romowie nie wiedzieli, co począć z zastanym dobytkiem. Prastare, bogatą snycerką zdobione domy doprowadzili w przeciągu kilku lat do ruiny, pola leżały odłogiem.

Widziałem na starych widokówkach, jak wyglądały dawniej spiskie wsie — w niczym prawie nie przypominały tych, w które się zmieniły. Wszystkie te miejscowości przecinała teraz wyimaginowana, a jednocześnie

w najwyższym stopniu realna granica. W jednej części ludzie sprząтали i wytrwale pracowali, w innej, zaczynającej się od dowolnego numeru, stare domy nie miały drzwi, dachy były dziurawe, ogrody przypominały hałdy śmieci i pocziwa gmina zmieniała się dom po domu w slumsy. Słowacy i Spiszacy tym fanatyczniej porządkowali swoje przydomowe ogródki, im obojętniej odnosili się do degrengolady Romów trzydzieści, pięćdziesiąt metrów dalej.

Przemierzając Spisz z północy na południe ze starymi widokami w rękę i nowymi przed oczami, zrozumiałem, jak trudne było wspólne życie Romów i nie-Romów i jak łatwo było sympatyzować z jednymi przeciwko drugim i na odwrót. W Salzburgu pewien *yuppie* z naprzeciwna denerwował mnie tylko tym, że czekając na przyjaciółkę, włączał dziesięć minut wcześniej silnik swojego kabrioletu, puszczając przy tym z głośników na cały regulator muzykę techno. Tutaj byłem bliski pogardy dla Słowaków, Węgrów i Spiszaków za to, że gardzili Romami, którzy przecież działali im na nerwy czymś zupełnie innym niż mnie mój japs — on nie robił nic gorszego ponad to, że w swojej głupocie delektował się dobrobytem. Romowie natomiast hałasowali od rana do późnej nocy, nie zwracali uwagi na rosnące góry śmieci, a miejscowościom, w których zmuszono ich do osiadłego życia, nie okazywali choćby odrobiny troskliwej sympatii.

Żyli inaczej niż Słowacy, z którymi, zupełnie oddzielnie, mieszkali w tych samych wioskach. Żyli inaczej, i trudno rozstrzygnąć, ile z tego „inaczej” odpowiadało ich własnym pragnieniom, a ile w wyniku biedy i wyzucia z praw

stało się ich rzekomo tradycyjnym sposobem życia. Tak czy owak, w wielu miejscach Romowie bronili się przed porzuceniem go, niezależnie od tego, czy był im właściwy, czy też wykształcił się dopiero w wyniku zniszczenia ich kultury. Co dla nas ważne, dla nich jest obojętne, co nam przeszkadza, dla nich rozumie się samo przez się. Należy wystrzegać się tuszowania różnic i wiary, że dzięki hojnej pomocy znikną one szybko niejako same z siebie. Tolerancja zakładająca, że Romowie zdolni są żyć tak jak my i respektować nasze niepisane prawa, spokój, czystość, *savoir-vivre* w miejscach publicznych, otóż taka tolerancja nie jest w ogóle żadną tolerancją. O tolerancji będziemy mogli mówić dopiero wtedy, gdy nauczymy się godzić z tym, że inni żyją inaczej niż my i mają także do tego prawo. Wymagać takiej tolerancji od Słowaków wydało mi się jednak czymś zbyt łatwym, bo przecież sam w mojej uporządkowanej Austrii nie zdobyłem się na nią nawet w błahej sprawie. Kiedy czytałem w domu, że dziewięćdziesiąt pięć procent Słowaków nie życzy sobie mieć Romów za sąsiadów, zakwalifikowałem to na swój użytek jako rasizm. Jednocześnie marzyłem, żeby *yuppie* z naprzeciwnika nie był w stanie dłużej płacić za swój luksusowy apartament i musiał się wyprowadzić, chociaż uciążliwość z nim związana miała charakter raczej ideologiczny niż rzeczywisty. Będąc na Słowacji, zacząłem rozumieć, że ktoś może nie chcieć mieszkać w sąsiedztwie romskiej osady. Jednocześnie potrzeba uczenia się akceptacji innego sposobu życia niż własny nigdzie nie stanęła mi tak dramatycznie przed oczami jak właśnie tam. Tak bowiem jak nikczemnością jest

pozostawianie Romów w ich niezawinionej biedzie pod pretekstem, że i tak niczego innego nie pragną, tak oznaką wrogości jest chęć wypędzenia z nich przez życzliwą dyktaturę wychowawczą tego wszystkiego, co gadziowi od zawsze w nich przeszkadzało.

Svídník nie tylko był czysty, był wręcz wylizany. Sprawiał wrażenie miasta zaprojektowanego na desce kreślarskiej. Szerokie ulice dla nieistniejącego strumienia samochodów, monstrualny, wyludniony plac z dużym domem towarowym, który zaraz po oddaniu go do użytku zaczął się rozsypywać, z nowoczesnym kościołem, który wyglądał jak nadwymiarowy sputnik i sprawiał wrażenie, jakby w każdej chwili miał się wznieść ku niebu... między budynkami zaś ta wyłożona setkami kwadratowych płyt nieskończenie wielka przestrzeń, przez którą wiło się cementowe koryto sztucznej, wyschniętej jak strup rzeczki z przerzuconymi przez nią drewnianymi mostkami dla pieszych, którzy dawno już uciekli.

Na zachód od Preszowa jedna po drugiej wyłaniają się osady romskiej nędzy. Można by się spierać, czy to Jarovnice, czy też Hermanovce, Jakubovany, Svinia, Rudnany lub Vítkovce leżą bliżej piekła. W Rudnanach, na terenie nieczynnej kopalni miedzi, żyje czterysta osób. Błyszcząca między chatami woda, w której bawią się dzieci, jest skażona, domostwa stoją na niepewnym gruncie, ponieważ pod nimi rozgałęziają się sztolnie nieprzynoszącej już zysków kopalni. Któregoś dnia, wie to tutaj każdy, kopalnia się zapadnie i pociągnie całą tę przekłętą miejscowość w otchłań. Z robotników, którzy w czasach socjalistycznych wydobywali tutaj drogocenną miedź, nie pozostał nikt prócz Romów.

W Hermanovcach jest ich trzystu, mieszkających u stóp wzgórza, w zagłębieniu, które w deszczową pogodę zamienia się w dziurę wypełnioną błotem. Po drugiej stronie wzgórza leżą Jarovnice, największa romska wieś Republiki. Trzy tysiące Romów i ośmiuset Białych mieszka naprzeciwko siebie w miejscowości podzielonej na dwie części, między którymi nieprzekraczalną

granicę wyznacza strumyk. W lipcu 1998 roku Mała Svinka, która zdaje się tak spokojnie płynąć swoim korytem, wezbrała po silnej ulewie i w przeciągu zaledwie kilku godzin zamieniła się w rwący potok, zalała romską osadę, poprzewracała chwiejne chaty i przykryła w końcu wszelkie życie gęstym szlamem. Pięćdziesięciu trzech Romów zginęło tej nocy, przygniecionych dachami swoich chat, porwanych przez powódź albo uduszonych w szlamie, którego zwały przetoczyły się przez domy i wąskie dróżki. Zdjęcia obiegały świat i na całym świecie zbierano pieniądze dla Romów z Jarovnic. Nie zabrakło pieniędzy z regionalnych i narodowych funduszy i międzynarodowych fundacji. Ale trzy tysiące Romów jest reprezentowanych w radzie gminy przez ośmiu radnych, ośmiuset gadziów natomiast przez dwunastu, a nie ma partii, która swojej polityki nie opierałaby na kryterium rozróżnienia etnicznego. W ostatnich wyborach do parlamentu słowackiego stanęło przeciwko sobie nie mniej niż dziewiętnaście partii romskich, które nie tylko musiały się podzielić głosami Romów, ale też wszystkie razem nie zdołały większości swojej klienteli doprowadzić choćby do urn. Datki, które napłynęły do Jarovnic, zostały po bratersku podzielone: połowę skasował burmistrz dla gadziów osiadłych na wyżej położonym brzegu Malej Svinki, którzy z wyjątkiem zalanych piwnic i szkód w ogródkach warzywnych nie ponieśli prawie żadnych strat, drugą połowę zaś otrzymało trzy tysiące Romów, których domy zostały całkowicie zrujnowane.

Klára Orgovánová, jedna z najbardziej znanych i z pewnością najbardziej znienawidzonych kobiet na

Słowacji, zwróciła uwagę na dziwny stan rzeczy: otóż katastrofa powodziowa w Jarovnicach przyniosła jednej części miejscowości dobrobyt w postaci nowych telewizorów i lodówek, drugiej zaś nie pomogła wydobyć się ze zniszczeń. Osiedle gadziów dzięki otrzymanej połowie wpłaconych datków stało się bogatsze niż przed powodzią, podczas gdy spustoszona osada romska za drugą połowę tej sumy nie mogła się zaopatrzyć choćby na niezbędnym poziomie i teraz, w piątym roku po nieszczęściu, ludzie nadal mieszkają w kontenerach, które miały dać im tylko tymczasowe schronienie. Kláry Orgovánovej, która kieruje w Bratysławie ośrodkiem pomocy dla romskich dzieci i działa w ruchu praw obywatelskich „Open Society”, wielu Białych nienawidzi, ponieważ niewzruszenie piętnuje ona wady słowackiego społeczeństwa i chociaż rząd mianował ją swoim doradcą do spraw Romów, nie cofa się przed krytyką dyskryminacji ze strony państwa. Wielu Romów z kolei nie akceptuje tej pełnej godności damy jako swojaczki, ponieważ ukończyła uniwersytet i przebieg jej kariery mógłby być przykładem udanej integracji, której pragną i której zarazem się boją.

Choć bieda jest wielka, to jednak są Biali i Czarni, którzy stawiają czoło upadkowi i próbują zmobilizować romską społeczność ogarniętą, jak się zdaje, procesem samozniszczenia i wyrwać ją z apatii. W Jarovnicach działa pełen entuzjazmu nauczyciel rysunków Ján Sajko, który pomógł przebić się talentowi plastycznemu romskich dzieci, dając im to, czego nigdy wcześniej nie miały: papier, kolorowe kredki i ciągłą zachętę, by te czarne dzieci, spychane notorycznie do szkół specjalnych, robiły

coś zasługującego na podziw. Ich obrazki jeżdżą po świecie, można je oglądać w muzeach i ośrodkach edukacji w wielu krajach, a że nadzwyczaj kolorowo łączą proste rzeczy z najbliższego otoczenia swoich twórców z ich fantazjami i sennymi wyobrażeniami, porównuje się je często do obrazów Marca Chagalla. Z kolei w Rudnanach, miejscowości, której każdy, kto ją widział, życzy, żeby mieszkańcy ją opuścili i zrównali z ziemią, tak aby przez kilka następnych stuleci na tym toksycznym miejscu nie powstała niczyja noga, utworzono mały ośrodek kultury, do którego schodzą się Romowie z okolicy, aby pomuzykować i porozmawiać o swoich sprawach, do których należy i ta, że może pewnego dnia wyniosą się jednak z tego piekielnego miejsca.

Rudnany i mniejsze, mieszczące się nieomal w przydrożnym rowie Vítkovce, są zaledwie kilka kilometrów oddalone od Spišska Nova Ves, miasta równie pięknego co ruchliwego, którego architektoniczne bogactwo pochodzi z początków czasów nowożytnych, kiedy nazywało się jeszcze Zipser Neudorf i kiedy pewni siebie spiscy mieszczenie i górnicy utworzyli tutaj centrum zarządzania swymi szesnastoma wolnymi miastami, pozostającymi poza zasięgiem feudałów. W tych okolicach, na terenie późniejszej Słowacji, około 1320 roku pojawili się pierwsi Cyganie albo raczej: tu po raz pierwszy pojawili się w źródłach pisanych, które mówią o przejściu tędy większej grupy cygańskiej. W następnych dziesięcioleciach przybywało urzędowych informacji o wędrownych cudzoziemcach, do których odnoszono się najwyraźniej ze sceptycyzmem, ale bez

wrogości. W aktach jest mowa o potężnym cygańskim królu imieniem Sindel, a także o książętach Pamuelu, Michaelu i Ondreju, którzy osiedlili się na pewien czas w okolicach Koszyc. Wkrótce było tu już ze dwadzieścia tysięcy tych przybyszy. Wędrowali po kraju i za zgodą władz jako kowale, muzycy czy handlarze koni oddawali się swemu rzemiosłu.

Ponad dziewięćdziesiąt procent Romów żyjących dzisiaj na Słowacji pochodzi z rodzin, które już w XVIII wieku przywędrowały z Rumunii albo przez Rumunię. Do czasów Józefa II, najbardziej energicznego reformatora pośród habsburskich władców, który swoim życzliwym despotyzmem, nakazującym robić wszystko dla narodu, ale nic jego rękami, objął *explicite* również Romów, mówiło się o nich raz po raz nie bez uprzedzeń, ale niemal nigdy z ową nieskrywaną nienawiścią, która dopiero u progu nowoczesności uczyniła z nich potencjalny obiekt ludobójstwa. Podobnie jak nienawiść do Żydów, także nienawiść do Cyganów podszyta była zawsze tymi samymi legendami. Na procesie w Hontii postawiono im w 1782 roku po raz pierwszy zarzut kanibalizmu, za co przeszło czterdziestu z nich musiało zapłacić życiem, i nawet jeszcze w 1923 roku stanęli przed sądem w Koszycach pod tym samym zarzutem. Na Słowacji jednak, inaczej niż w sąsiednich krajach, dyskryminowani Romowie uniknęli zorganizowanej deportacji do obozów koncentracyjnych. Ale w 1944 roku, kiedy słowackie powstanie narodowe, mające zakończyć okres świetności państwa jako lennika z łaski Hitlera, zostało krwawo stłumione, narodowi socjaliści i ich poplecznicy

dokonali masakry przede wszystkim na Cyganach. To, że podczas plebiscytu w 2001 roku tylko osiemdziesiąt dziewięć tysięcy obywateli przyznało się do romskiego pochodzenia, wiąże się z tą długą historią krzywd i prześladowań. Nawet bowiem ludzie wrogo nastawieni do Romów zakładają, że na Słowacji żyje ich cztery razy tyle. Ale tam, gdzie bycie Romem groziło czasem utratą życia, a jeszcze dzisiaj powszechnie uchodzi za hańbę, gotowość do zarejestrowania się w urzędzie jako członek tej społeczności jest niewielka.

W Svini nie było słyszeć nic prócz deszczu, który od wielu godzin lał gęstymi strugami. Nie tracił ani nie przybierał na sile, był to beznamiętny, pedantyczny deszcz, wywołujący jednostajny cichy poszum, i trudno było sobie wyobrazić, że z szarej, masywnej płyty nieba kiedykolwiek przestanie padać. Wyszedłem ze wsi we wskazanym kierunku i posuwałem się wzdłuż szosy prowadzącej do Popradu, na której nie częściej niż co kilka minut pojawiało się, z trudem przedzierając się przez szarą zasłonę, blade światło reflektora, szybko na powrót pochłaniane przez deszcz. Początkowo wzdłuż szosy ciągnęły się domki jednorodzinne; na ich ponurych tynkach odznaczały się teraz duże, ciężkie plamy wody. Dalej szosa wiodła przez tereny niezabudowane.

Osada cygańska, jak mi powiedziano, nie leżała u wylotu wsi, tylko pół kilometra dalej. Przedwczesna, przynębiająca ciemność zapadła nad okolicą, która jak duża brązowa gąbka wchłaniała wodę, godzinami lejącą się na ziemię. Szedłem uparcie przed siebie, zbliżając się do gęstych oparów, w których rozplywała się szosa. Tego

popołudnia nie było nic prócz niewyraźnej szosy, deszczu i jego szumu. I wtedy zobaczyłem ją. Nie, zanim ją zobaczyłem, coś usłyszałem. Był to daleki dźwięk, złożony z wielu trudnych jeszcze do rozróżnienia odgłosów i tonów, i ten dźwięk zdawał się wysklepiać jak kopuła nad tym, co wreszcie stało się widoczne: nad kupą desek, kamieni, blachy, nad skupiskiem drewnianych chat, murów, kontenerów.

Na lewo odchodziła od szosy droga, która po około stu pięćdziesięciu metrach skręcała, rozszerzała się i prowadziła do osady. Kiedy podszedłem bliżej, dźwięk zaczął się rozpadać na niezliczone pojedyncze odgłosy, na wysokie i ochryple, zachwycone i zdenerwowane głosy ludzi, na trwożliwe poszczekiwanie psów, na kłaśnięcia piłek odbijających się od muru, na trzask pękającego drewna, na które ktoś wskoczył, na walenie młotkiem w blachę i, oczywiście, na plusk wody.

Znajdowałem się może dziesięć metrów od zakrętu i mogłem już dostrzec osadę, kiedy uderzył mnie znie-nacka fetor tak intensywny i niezwykle, że mój organizm natychmiast zaczął się przed nim bronić, próbując konwulsyjnie wyrzucić z siebie to, co zdążył już wchłonąć. Dławiąc się powstrzymywanymi wymiotami i zgięty wpół pokuśtykałem do osady, gdzie dziesiątki dorosłych, młodzieży i dzieci przyglądały mi się ze zdziwieniem, po czym wybuchnęły dobrodusznym śmiechem na widok mojego głośno połykanego obrzydzenia. Byłem pewien, że doskonale wiedzieli, iż tym, co zaparło mi dech, był fetor ich osady, ten słodkawy odór rozkładu połączony ze smrodem fekaliów, benzyny, butwiejącego drewna

popołudnia nie było nic prócz niewyraźnej szosy, deszczu i jego szumu. I wtedy zobaczyłem ją. Nie, zanim ją zobaczyłem, coś usłyszałem. Był to daleki dźwięk, złożony z wielu trudnych jeszcze do rozróżnienia odgłosów i tonów, i ten dźwięk zdawał się wysklepiać jak kopuła nad tym, co wreszcie stało się widoczne: nad kupą desek, kamieni, blachy, nad skupiskiem drewnianych chat, murów, kontenerów.

Na lewo odchodziła od szosy droga, która po około stu pięćdziesięciu metrach skręcała, rozszerzała się i prowadziła do osady. Kiedy podszedłem bliżej, dźwięk zaczął się rozpadać na niezliczone pojedyncze odgłosy, na wysokie i ochryple, zachwycone i zdenerwowane głosy ludzi, na trwożliwe poszczekiwanie psów, na kłaśnięcia piłek odbijających się od muru, na trzask pękającego drewna, na które ktoś wskoczył, na walenie młotkiem w blachę i, oczywiście, na plusk wody.

Znajdowałem się może dziesięć metrów od zakrętu i mogłem już dostrzec osadę, kiedy uderzył mnie znie-nacka fetor tak intensywny i niezwykle, że mój organizm natychmiast zaczął się przed nim bronić, próbując konwulsyjnie wyrzucić z siebie to, co zdążył już wchłonąć. Dławiąc się powstrzymywanymi wymiotami i zgęty wpół pokuśtykałem do osady, gdzie dziesiątki dorosłych, młodzieży i dzieci przyglądały mi się ze zdziwieniem, po czym wybuchnęły dobrodusznym śmiechem na widok mojego głośno połykanego obrzydzenia. Byłem pewien, że doskonale wiedzieli, iż tym, co zaparło mi dech, był fetor ich osady, ten słodkawy odór rozkładu połączony ze smrodem fekaliiów, benzyny, butwiejącego drewna

i spalonego plastiku, te odurzające wyziewy zgnilizny, które zdawały się wydobywać z każdego kąta i rozsnuwać po okolicy. Pierwsze hausty powietrza były straszne, płuca tak się przed nim broniły, że zadrżały mi kolana, a pod nieprzemakalną kurtkę poczułem, jak zimny pot przykleja mi koszulę do pleców. W końcu udręczone narządy oddechowe skapitulowały i nabrały powietrza, po paru głębszych oddechach zrobiło mi się lepiej, fetor powoli tracił intensywność i po pewnym czasie prawie przestałem go czuć. Kiedy się wyprostowałem, znowu oddychając swobodnie, otaczający mnie ludzie kiwali z uznaniem głowami, jakbym przezwyciężając wstręt, uzyskał prawo przebywania w ich społeczności.

Niecałe trzy metry ode mnie w zielonkawo połyskującej kałuży, w której widziałem rozmiękle tekturowe pudło, pływające zardzewiałe puszki po konserwach i zwiędłe liście jarzyn, siedział nagi, najwyżej dwuletni chłopiec z ogoloną do gołej skóry głową, na której miał dużą, pokrytą strupem ranę. Siedział w lodowatej wodzie, w której powierzchnię uderzał z zachwytem płaską dłońią, po czym, ledwo zobaczył mnie, obcego, zaczął, trzęsąc się z zimna, wydawać głośne okrzyki radości. Zaraz też podbiegło do niego rodzeństwo, podniosło całego oblepionego gliną i ruszyło z nim ku mnie. Nie minęła jeszcze minuta, odkąd tu przybyłem, a już stało wokół mnie kilkanaścioro dzieci, wyciągając do mnie ręce i wymieniając swoje imiona.

Mówiły do mnie jedno przez drugie, najpierw w języku romani, potem po słowacku, chciały dowiedzieć się wszystkiego naraz, wszystko naraz powiedzieć, musiały

jednak w końcu ustąpić miejsca dorosłym, gdy ci powychodzili z domów, w których drzwiach stali, chroniąc się przed deszczem. Nie wiem, czy potrzebowiałem dziesięciu minut, czy może godziny, żeby podać rękę każdemu, kto witał mnie osobiście jako gościa swojej osady, ale wciąż jeszcze stałem na początku placu i nie miałem możliwości wyrzeć poza to kłębowisko, które tak szybko utworzyło się wokół mnie. Wszyscy, którzy mi się przedstawiali, mówili, jak mają na imię oraz ile mają dzieci. Było ich zawsze troje, czworo, nawet w przypadku bardzo młodych mężczyzn, śmiało pokazywały się także, czasem z niemowlęciem przy piersi, ich żony, które brodziły w błocie, żeby mi wyjawić, kim są i ile dzieci już urodziły.

Droga, która łączyła osadę z szosą, rozszerzała się na zakręcie do może dziesięciu metrów. Był to główny plac, ograniczony z dwóch stron dwoma podłużnymi jednopiętrowymi murowanymi domami. Deszcz rozmiękczył cały plac, zamieniając go w lepkie bagno. Moją uwagę zwróciła obojętność, z jaką ludzie trwali w tym bajorze. Niezależnie od tego, czy mieli na nogach kozaki czy letnie buty, nie przejmowali się i nie reagowali nawet wtedy, kiedy woda wlewała im się do środka. Stojąc w głębokim błocie, które, ilekroć przestąpiłem z nogi na nogę, wydawało głośnie mlaśnięcie, znajdowałem się w centrum tej porośniętej brudem, szczelnie spowitej odorem osady, w tym nieustającym deszczu, którego wilgoć przenikała wszystko, i byłem otoczony samymi roześmianymi ludźmi: młodymi mężczyznami, których twarze zniszczył alkohol, wychudłymi kobietami z jednym dzieckiem

przy piersi, dwójgiem u fartucha i z jeszcze jednym w już okrągłym brzuchu, szczerzącymi zęby młokosami, którzy ukradkiem pokazywali mi z dumą, jak wdychają klej z plastikowych torebek, starcami bez jednego zęba w ustach. Byłem otoczony napiętnowanymi — i nie spotkałem wśród nich nikogo, kto nie uśmiechnąłby się do nieznajomego gościa i nie poklepał go przyjaźnie po plecach.

Na głównym placu stały cztery, niegdyś białe, domy, wymazane do wysokości metra gliną i błotem. Z każdego z sześciu okien na piętrze wyglądali ludzie. Wszyscy palili i z okrzykami zachęty bądź drwiny włączali się do rozmowy na dole. Ci, których spojrzenie skrzyżowało się z moim, przeważnie zapraszali mnie ruchem ręki na górę. W końcu jakaś stara kobieta o długich niebieskosiwych włosach wzięła mnie za rękę i poszła ze mną do jednego z domów. W nieoświetlonej klatce schodowej uderzył mnie ponownie odór zgnilizny, w którym na dworze byłem zanurzony tak długo, że prawie już go nie czułem. Ten fetor rozkładu musiał mieć tutaj jeszcze jakąś domieszkę, której nie mogłem zidentyfikować. W asyście kilkorga wrzeszczących dzieci, nieustannie kuksających mnie nie tyle w celu zwrócenia mi na coś uwagi, ile po to, żebym na nie spojrzał, weszliśmy na pierwsze piętro, gdzie przed mieszkaniami, które składały się najczęściej z jednego pokoju, stali mężczyźni i kobiety, witając mnie z zaciekawieniem.

Staruszka wskazała przez otwarte drzwi na jedno z pomieszczeń, słabo rozjaśnione wpadającym przez okno światłem zmierzchającego dnia. Był to może dwunastometrowy pokój, tak czysty, jak czyste może być tylko mieszkanie mieszczaucha, którego dumą są wypucowane pokoje i odkurzone meble. Zdjąłem z nóg powalane gliną buty i wszedłem, stąpając po miękkich dywanach. Jeszcze nieraz miałem się w Svini zastanawiać, jakim cudem udawało się tym kobietom, tym wszystkim matkom i babkom, w tej zarośniętej brudem, w czasie deszczu tonącej w błocie osadzie utrzymać w mieszkaniach taką czystość. Jak potrafiły sprawić, że nieustannie kręcące się dzieci zostawiały brud, na który podobnie jak dorośli nie zwracały na dworze najmniejszej uwagi i który bezceremonialnie wносиły do własnej klatki schodowej, przed najczęściej otwartymi albo nawet nieistniejącymi drzwiami mieszkania. Biorąc pod uwagę szybkość, z jaką poruszały się dzieci, i fakt, że błoto podchodziło pod same domy, trudno było pojąć, że udawało się tak całkowicie oddzielić małe, prywatne pomieszczenia od przestrzeni publicznej. Te kilka metrów kwadratowych, które rodzina miała dla siebie, było utrzymywane w pedantycznej czystości, to natomiast, co znajdowało się zaledwie o krok dalej, nie obchodziło już nikogo; nikomu też nie przeszkadzało, że w strefie niczyjej każdy wysypywał śmieci, gdzie mu się akurat podobało.

Na podłodze leżały dywany, ściany zaś staruszka ozdobiła najrozmaitszymi chustami. Na jednej z nich wisiał duży święty obraz, ukazujący Matkę Boską w niebieskiej chustce na głowie, ze złożonymi rękami

i nieobecnym wzrokiem — wizerunek, jakich wiele widziałem w wiejskich domach w Austrii czy we Włoszech. Na przeciwległej ścianie kobieta zawiesiła kilka oprawionych w drewniane ramki fotografii swojej rodziny, której członków mi przedstawiła. Mówiła i mówiła, spragniona słów uznania. Kiedy już omówiła fotografie, zawołała ludzi obserwujących nas z zewnątrz i rozpoznałem prawie wszystkie osoby ze zdjęć, mężczyzn, kobiety i dzieci. Każdy po kolei najpierw wskazywał palcem postać na zdjęciu, a potem, kiwając głową, siebie, po czym, ilekroć okazywało się, że ktoś na zdjęciu wyglądał dużo młodziej albo był ładniej uczesany, wybuchaliśmy śmiechem.

Kiedy wróciłem na plac między murowanymi domami, niektórzy witali się ze mną ponownie, jakby cieszyli się, widząc mnie znowu po tak długiej nieobecności. Na tyłach domów stały w kilku rzędach drewniane baraki, gliniane chaty, kontenery. Domostwa te nie były tak stare jak murowane budynki, ale znajdowały się w jeszcze gorszym stanie. Nie wszystkie jednak: było wśród nich kilka zbudowanych na wzór prostego szałasów i najwidoczniej troskliwie konserwowanych. Zastanawiałem się, jacy ludzie w nich mieszkają i dlaczego potrafią lepiej zadbać o swoje pomieszczenia. Wtedy wzrok mój padł na odsunięty nieco bungalow, który zamykał plac w jego przedniej wąskiej części i na którym zawieszony był szyld z wizerunkiem klonowego liścia.

Kilka dni później poznałem Craiga i Martinę. W budynku urzędu gminy w Svini zajmowali wspólnie maleńkie biuro, do którego wcisnęli dwa biurka, tak zawalone aktami, listami, dokumentami i planami, że ledwo można się było w tym pokoju ruszyć. Craig miał niewiele ponad dwadzieścia lat, był wysoki, atletyczny niczym sportowiec, z krótko ostrzyżonymi włosami, pochodził z małej miejsciny w Arkansas i przyjechał do Europy, żeby przed podjęciem jakichś intratnych studiów w USA poświęcić dwa lata na chrześcijańską pracę społeczną. Oczywiście także w Stanach znalazłoby się dla niego dostatecznie wiele do zrobienia, ale organizacja, dla której postanowił pracować po ukończeniu szkoły średniej, potrzebowała go właśnie na Słowacji, w kraju, o którym dotąd prawie nic nie wiedział, i o którym także teraz, kiedy stał się ekspertem od spraw mieszkaniowych Romów, wiedział niewiele. Martina była kilka lat starsza i ukończyła właśnie studia w Preszowie, ale zamiast rozpocząć karierę zawodową jako nauczycielka rysunków w gimnazjum, wołała zostać pracownikiem opieki społecznej i wyjechać do Svini.

Craig był współpracownikiem „Habitat for Humanity International”, instytucji ponadwyznaniowej, silnie nacechowanej amerykańską religijnością, która to instytucja budowała na wszystkich kontynentach proste domy, odpowiadające w zupełności podstawowym potrzebom mieszkańców slumsów. Szczególną cechą „Habitatu” jest to, że nie dostarcza on domów gotowych do zasiedlenia i tym samym nie przyznaje nowym właścicielom statusu beneficjentów cudzej dobroczynności, tylko zobowiązuje ich do współpracy. Kto chce nabyć dom od „Habitatu”, musi osobiście pracować przy jego budowie aż po więźbę dachową i zaciągając długoterminowy kredyt, samemu wpłacić także niewielką sumę na swoje przyszłe lokum. Pracownicy „Habitatu” zauważyli bowiem, że mieszkania socjalne przekazane w stanie gotowym do zasiedlenia po krótkim czasie były wchłaniane przez slumsy, podczas gdy domy, w których planowaniu i wznoszeniu uczestniczyli ich późniejsi lokatorzy, traktowane były przez nich jak własność, której muszą doglądać i za którą czują się odpowiedzialni. Proste chaty w osadzie, których dobry stan mnie zadziwił, zostały zaprojektowane, zbudowane i przekazane ich posiadaczom w slumsach na takich właśnie zasadach.

Craig zgromadził w swoim komputerze dane wszystkich mieszkańców cygańskiej osady, odnotowując stopień pokrewieństwa, liczbę dzieci i wiek członków poszczególnych rodzin. Powiedział mi, że w słowackiej części Svini mieszka około tysiąca trzystu osób, a w osadzie cygańskiej dokładnie sześćset pięćdziesiąt siedem. Chociaż, przyznał ze śmiechem, nie sposób tego sprecy-

zować, bo jeszcze żaden spis nie wykazał tej samej liczby mieszkańców. Był już od roku w Svini, chciał pozostać przez następny i nadal emanował ufnością, że świat według zasad „Habitatu” nie będzie wprawdzie rajem, który i tak nadejdzie dopiero na koniec wieków, ale bądź co bądź może się zmienić w spokojne osiedle z przyjaznymi chatami, tak że nikt już nie będzie pozbawiony solidnego dachu nad głową. Ilekroć go spotykałem, miał na sobie zawsze typową grubą koszulę drwała, a jego twarz wyrażała żywą uprzejmość, ową ufność, która w zależności od mojego nastroju wydawała mi się godna podziwu albo niestosownie naiwna.

Ten młody człowiek z Arkansas, myślałem sobie, który niebawem zacznie z pewnością studiować coś rozsądnego i wkrótce dorobi się dobrze płatnej posady i miłej rodziny, przyjechał tutaj, na koniec świata, o którym nie miał żadnego pojęcia, z zamiarem zrobienia czegoś dobrego i w przekonaniu, że ten świat czeka tylko na pomoc chłopaka z zapadłej dziury w Arkansas. Bez odrobiny krytycyzmu opowiadał mi, jakie znaczenie dla „Habitatu” miał fakt, że prezydent Bush podczas zwiedzania w USA nowego osiedla wybudowanego przez „Habitat” dał się sfotografować w kasku i z kielnią w ręku, bo w następnych tygodniach napłynęło tyle darowizn, że można było wdroić niektóre nowe projekty w samych Stanach i w Afryce. Mojej uwagi, że to oczywiste, iż prezydent choć w niewielkim stopniu przyczynia się do złagodzenia bezpośrednich skutków swojej katastrofalnej polityki społecznej, Craig, uśmiechając się prostodusznie, najwidoczniej w ogóle nie rozumiał, a ja sam też nie

miałem pojęcia, co każe mi dręczyć europejskim sceptycyzmem tego młodego amerykańskiego idealistę.

Kwestie polityczne nie interesowały Craiga w takim samym stopniu, w jakim pochłaniało go praktyczne rozwiązywanie problemów, z którymi zetknął się w swojej pracy. Zdumiewał mnie nie tylko optymizm, z jakim podchodził do najtrudniejszych zagadnień, lecz także to, jak zaraźliwy był ten optymizm i wiecznie dobry humor. Kiedyś poskarżył się, że poprzedni burmistrz Svini był znacznie bardziej otwarty i uczynny niż obecna pani burmistrz, której biuro znajdowało się w tym samym budynku urzędu gminy. Deklarowanym celem „Habitatu” jest tworzenie własności mieszkaniowej połączone z wpisywaniem nowych domów i chat do ksiąg wieczystych jako notarialnej własności ich każdorazowych mieszkańców. Romowie wszelako nigdy nie mieszkają na własnej ziemi i nawet jeśli postawią swoje nędzne chaty na toksycznej hałdzie zlikwidowanej fabryki chemikaliów, to przecież toleruje się ich tam tylko do czasu. Choćby przeżyli trzydzieści lat w mieszkaniach służbowych jakiegoś kombinatu przemysłowego, to gdy zamykano ten kombinat i zwalniano załogę, okazywało się często, że w istocie przez cały czas mieszkali bez umowy najmu czy prawa własności i z dnia na dzień można ich wyrzucić.

Cygańska osada w Svini leży daleko poza wsią na bagnistym terenie, który od niepamiętnych czasów nigdy nie był użytkowany. Poprzedni burmistrz uznał za dar niebios, że „Habitat” stara się doprowadzić osadę do porządku. Ostatniej jesieni przegrał wybory, bo jego

młoda kontrkandydatka odstręczyła od niego wyborców zapowiedzią, że skończy w Svini z tym wiecznym uprzywilejowaniem Romów i pomyśli wreszcie o porządnym, pracowitych obywatelach gminy. Zapytałem Craiga, z ramienia jakiej partii ta pani startowała w wyborach. Myślał długo, a potem pokręcił głową. Żył od roku na Słowacji, od rana do wieczora pracował dla Romów, pertraktował z radą gminy w sprawie przeklasyfikowania nieużytku na teren budowlany, był wdzięczny dawnemu burmistrzowi, że ten wspierał go w jego dążeniach, i oburzony, że pani burmistrz prawie wszystkie poczynione ustalenia nieoficjalnie pogwałciła albo oficjalnie anulowała. Ale nie wiedział, z jakimi partiami czy politycznymi ugrupowaniami ma przy tym do czynienia, ba, nie znał, jak się zorientowałem, ani nazw, ani programów dużych partii politycznych, istniejących na Słowacji, wiedział, kto jest prezydentem kraju, ale nie miał pojęcia, kto rządzi w Bratysławie, a kto w okręgu preszowskim. Craig był przekonany, że jego kłopoty niewiele mają wspólnego z tego rodzaju politycznymi sprawami. Dawny burmistrz był po prostu *okay*, a nowa pani burmistrz, nie, ona niestety nie była *okay*. Zapytałem go, jaka ona jest poza tym, na co Craig spojrzał na mnie swoim niewinnym wzrokiem chłopca z Arkansas, wzniosł oczy ku niebu i powiedział tylko: *Oh God!*

To mi wystarczyło, żeby wiedzieć, co to za osoba, i uprzytomnić sobie, że już ją widziałem.

Dezider, Adam, Marek, Zlatina, Morella, Vadamen próbowali właśnie nauczyć mnie liczyć do dwudziestu w języku romani i nie mogli się nacieszyć moją nieporadnością, kiedy ponad głowami dzieci ujrzałem stojącą kilka metrów przed wejściem do osady kobietę, która zdawała się coś wyjaśniać towarzyszącym jej mężczyznom. Obok stały trzy ciemne luksusowe samochody. Trzydziestokilkuletnią kobietę w szpilkach i owej krótkiej spódnicy, jaka także u nas stanowi często element ubioru kobiet należących do wyższego szczebla managementu i ma w takim samym stopniu podkreślać atrakcyjność seksualną jej właścicielki, jak dowodzić jej sportowego trybu życia, otaczała delegacja złożona z mężczyzn. Mężczyźni byli ubrani swobodniej i niewątpliwie zajęci takimi ważnymi problemami ludzkości, jak wzrost zysków z akcji. Kobieta próbowała ich do czegoś zapalić albo coś im przedstawić, czego oni, mając przed sobą zrujnowaną osadę, jeszcze nie mogli dostrzec, ale bądź co bądź powinni już byli przeczuwać. Kobieta wskazywała osadę telefonem komórkowym jak buławą hetmańską.

Włosy miała ufarbowane na kruczoczarny kolor, ciało mocno opalone w solarium, ale żadne z czarnych dzieci, które zwykle wybiegały, wrzeszcząc, naprzeciw wchodzącym do osady, nie odważyło się do niej zbliżyć.

Dopiero kiedy Craig uciekł się do wezwania imienia Bożego, stało się dla mnie jasne, że ta atrakcyjna kobieta, która idealnie dopasowała się do modelu *Kraft der Freude*, była owym młodym, dynamicznym, kroczącym od sukcesu do sukcesu żeńskim ucieleśnieniem barbarzyńcy *à la mode*, który jako pani burmistrz rządził teraz tą miejscowością. Już na sam jej widok, nie wiedząc jeszcze, jaki piastuje urząd ani jakie ma w związku z nim plany, poczułem do niej silną niechęć. Gdybym miał kiedykolwiek kręcić film o bezdusznej kobiecie, planującej wygnanie ludzi z ziemi i realizującej ten plan bez mrugnięcia okiem, byłaby idealną do tej roli aktorką. Ale nigdy nie nakręcę filmu o tak wątpliwym przesłaniu i w ogóle nie zamierzam się pchać do filmowego biznesu. Stała na skraju osady w szpilkach, w których nie była w stanie chodzić po tutejszej gliniastej ziemi, i pokazywała siedmiu mężczyznom, spośród których każdego uważałem w ciemno za zdolnego do najgorszych podłości, tonącą w błocie okolicę, gdzie w krzywych chatach żyło wciąż jeszcze kilkaset osób, które pani burmistrz uważała za uprzywilejowane i którym te przywileje zamierzała twardą ręką odebrać.

Także Craig nie wiedział, czy miała zamiar zrównać osadę z ziemią, zanim Romowie otrzymają ją na piśmie jako swoją notarialną własność, czy też chciała postawić pośrodku tych slumsów maszt telefonii komórkowej, czy

wreszcie jakieś konsorcjum międzynarodowych inwestorów planowało akurat na tym pustkowiu wznieść fabrykę. Żaden Rom nie odważył się zbliżyć do tej grupy na mniej niż dziesięć metrów, nikt z gości nie pozdrowił żadnego z mieszkańców. Patrzyli na teren zamieszkały przez ludzi, ale patrzyli tak, jakby tych ludzi już tu nie było. Stali na skraju slumsów, ale na ich miejscu widzieli coś zupełnie innego. Z równowagi wyprowadzała ich jedynie myśl o tym, jak wiele jeszcze muszą zrobić, by osiągnąć cel.

Cóż, Europa. Delegacje Unii Europejskiej odwiedzały slumsy i wpadały w przerażenie na myśl, że ci wszyscy wykolejenci z gett mogliby najechać ich ładne europejskie miasta. Teraz stali tu jednak nowi Europejczycy, których się nie bano, lecz w których pokładano nadzieję, ciało z ich ciała, i naraz zrozumiałem, że wszyscy zgromadzeni tu nędzarze razem wzięci są mniej groźni niż każdy z tych europejskich biznesmenów z osobna.

Martina znała z imienia dosłownie każdego z sześciuset pięćdziesięciu siedmiu mieszkańców slumsów. Kiedy wchodziliśmy razem do osady, ludzie zbiegali się wokół nas, jakby sprawa dopiero wtedy była załatwiona, kiedy Martina każdego z nich zagadnęła po imieniu. Nigdzie indziej nie spotkałem ludzi, dla których byłoby tak ważne, żeby znać ich imiona i po imieniu ich nazywać. O respektowanie tego najstarszego i najczęściej nieprzestrzeganego ludzkiego prawa, prawa do tego, żeby nie być numerem, kimś bezimiennym, lecz żeby być kimś określonym i stawać przed swoim Panem w niebie i ludźmi na ziemi pod własnym imieniem, upominali się tutaj wszyscy, którzy poza tym nie mieli się prawie o co upominać. Martina mówiła mi, że czterystu pięćdziesięciu mieszkańców nie miało jeszcze szesnastu lat, a tylko pięciu więcej niż sześćdziesiąt. Także dawniej Romowie żyli krócej niż inni Europejczycy, ale nigdy dotąd ta różnica nie była tak duża jak teraz, w epoce wielkich postępów w medycynie i w czasach wspólnej konstytucji europejskiej, odwołującej się do dziedzictwa humanizmu

i Oświecenia. Jednocześnie Romowie mają o wiele więcej dzieci niż inni i jeżeli ta tendencja demograficzna nie osłabnie, to w 2070 roku europejscy Romowie będą, co prawda, żyć już tylko tyle, ile żyli Europejczycy we wczesnym średniowieczu, ale mimo to będą stanowić największą grupę narodowościową na Słowacji.

Martina robiła wszystko rozważnie i zarazem zdecydowanie, pęd i pośpiech były jej obce i zdawały się stawać obce także tym, z którymi rozmawiała, a przecież nieustannie była w ruchu, ciągle zajęta załatwianiem czegoś, porządkowaniem, nadawaniem czemuś biegu. Była zatrudniona przy „Svinia Project”, ale nie dowiedziałem się nigdy, czy z racji tej swojej funkcji była też jakby przełożoną Craiga. „Habitat for Humanity International” był mianowicie częścią większego projektu, zainicjowanego w latach dziewięćdziesiątych przez kanadyjskiego antropologa Davida Z. Scheffela. Mający czeskich przodków Scheffel, profesor na University of the Cariboo w Kolumbii Brytyjskiej, natknął się na Swinie raczej przypadkiem i to spotkanie spowodowało zwrot w jego życiu. Scheffel odkrył tu bowiem nie tylko jedyne w swoim rodzaju pole badań, gdzie można było studiować obyczaje, tradycję i strategie przetrwania romskiego klanu, którego członkowie od pokoleń żyli w prawie zupełnej izolacji, traktowani z pogardą jako niemal niedotykalni także przez innych Romów. Jeszcze bogatszy w następstwa był fakt, że Scheffel poczuł się osobiście zobowiązany zrobić coś, czego w sensie akademickim nikt nie mógłby od niego wymagać. „Svinia Project”, który sam stworzył i który finansowany był początkowo ze środków prywatnych,

później zaś wspierany przez Canadian International Development Agency, łączył pewną ilość inicjatyw, opierających się na szacunku dla Romów ze Svini takich, jakimi są, które miały między innymi służyć im pomocą w wydobywaniu się z nędzy. „Habitat” był tylko jedną z wielu inicjatyw tego rodzaju, inne, jak na przykład „Heifer Project”, miały za zadanie przywracać Romom podstawową wiedzę rolniczą.

Brzmi to paternalistycznie, bo po co przypominać grupie Romów, żyjącej w wiejskich slumsach, wiadomości rolnicze? Na pewno Martina opowiadała o tym już wielu innym gościom, ale kiedy mówiła to mnie, znów słysząc było w jej głosie zdumienie, niedowierzanie, które sama wciąż jeszcze odczuwała: — Musisz wiedzieć, że oni wszystko zapomnieli, oni naprawdę zapomnieli, jak żyć.

Mniej więcej dziesięć lat temu, kiedy Scheffel i jego zespół, studenci z Kanady, pracownicy opieki społecznej i naukowcy z Preszowa, zaczęli właśnie przygotowywać pierwsze projekty dla Svini, któregoś dnia przywieziono do osady żywe kury w naiwnej wierze, że ta pierwsza dotacja zachęci Romów, żeby nie wyglądali jedynie dnia, kiedy dostaną zapomogę i natychmiast zamienią ją w miejscowym supermarkecie na towary, tylko żeby uczynili pierwszy skromny krok ku samowystarczalności. Kiedy następnego dnia jeden z pracujących przy projekcie zajrzał do osady, wszystkie kury były martwe. Część została zjedzona podczas wieczornej fety, reszta leżała bez głów rzucona psom na pożarcie. — Oni nie wiedzieli już nawet, że kury znoszą jajka, i nie wiedzieli, jak się je hoduje.

W domu z klonem, ufundowanym przez kanadyjski fundusz rozwoju, mieściły się teraz mały punkt medyczny, przedszkole, kuchnia i warsztat. Dla chętnych organizowano kursy gotowania, przy czym były to nie tyle programy kształcenia przyszłych smakoszy czy mistrzów patelni, ile ćwiczenia z zakresu higienicznego przygotowywania i przechowywania potraw. Osoby prowadzące kursy szycia zauważyły, że mieszkańcy Svini zapomnieli techniki szycia, podobnie jak utracili inne proste umiejętności rzemieślnicze. Co się popsuło, było popsute, co się podarło, leżało podarte, kiedy dach nad głową się zawalił, mieszkało się bez dachu nad głową, a ubrania nosiło się dopóty, dopóki nie spadły z grzbietu albo jakaś organizacja charytatywna nie rozdała nowych.

W lipcu 1998 roku Mała Svinka przewaliła się niszczyielsko także przez Svinie. Dopiero kiedy opowiedziano mi o tym, przypomniła mi się rzeczka, która zagłębiona w swoim korycie płynęła sobie gdzieś w połowie drogi między szosą a osadą. Owej nocy całą osadę zalała gęsta breja gliny, żwiru, powyrywanych krzaków i gałęzi. Jedynie stare murowane domy, pochodzące jeszcze z czasów realnego socjalizmu, przetrwały powódź. Drewniane chaty i gliniane baraki zostały zniszczone. Zdumiewające, nie, przerażające było jednak to, że ci ludzie jakby nie pamiętali własnej osady. Cztery tygodnie po owej nocy, kiedy Mała Svinka spustoszyła ich miejscowość i pracownicy realizujący „Svinia Project” chcieli się zabrać do jej odbudowy, mieszkańcy nie potrafili już powiedzieć, gdzie stały ich chaty i kto był ich sąsiadem. Trzeba było tygodni, żeby za pomocą zdjęć, rysunków

i modeli przypomnieć im, jak wyglądała ich osada i gdzie kto mieszkał. — Zapomnieli wszystko, nawet samych siebie — powiedziała Martina.

Wielu życzliwych ludzi potraktowało „Svinia Project” jak swój własny, do jego realizacji przyłączyły się stowarzyszenia i organizacje z wielu krajów. Słowackie stowarzyszenie Minoritas, działające bez państwowych dotacji, uruchomiło po powodzi wspólnie z mieszkańcami osady pierwszy program usuwania śmieci, inne organizacje podjęły się zaopatrzenia w wodę pitną i skanalizowania osady. Ale nic nie miało być tak po prostu dostarczone Romom do domu, przy wszystkim musieli pracować. — Nie możesz sobie nawet wyobrazić, jak tu kiedyś było — powiedziała Martina i z dumą wskazała na osadę.

Rozglądałem się, widziałem, jak jest teraz, i zadawałem sobie pytanie, jak, na Boga, mogło być kiedyś.

Ilekroć spotykałem się z Deziderem i jego przyjacielem Adamem, zawsze chcieli mnie czegoś uczyć i sami nauczyć się czegoś ode mnie. Najpierw było witanie się i liczenie po niemiecku, słowacku i w języku romani. Później doszły takie słówka jak brat, siostra, kuzyn, ciotka. Obaj byli w takim samym stopniu inteligentni i żądni wiedzy, co w po dziecinnemu bezczelni i gdyby przyszli na świat jako Austriacy albo Słowacy, to mając teraz dwanaście lat, uczęszczaliby na pewno do gimnazjum w Stockerau albo Bardejovie, albo gdzie indziej. Byli jednak Romami ze Svini i dlatego chodzili do szkoły, w której oddzielano ich ściśle od dzieci słowackich.

Za kanadyjskie pieniądze zorganizowano w szkole podstawowej w Svini bezpłatne obiady dla wszystkich uczniów. Pierwsza myśl była taka, żeby romskie dzieci codziennie otrzymywały ciepły posiłek, druga, żeby przysługiwał on również dzieciom słowackim, z których nie wszystkie przecież pochodziły z zamożnych rodzin, trzecia wreszcie, że może przy wspólnym obiedzie rozwiną się ponad etniczną granicą przyjaźnie, które z

powodu obowiązujących w miejscowości surowych reguł społecznych nie miały szansy się nawiązać. Kiedy po kilku miesiącach fundatorzy odwiedzili szkołę, zobaczyli, że w jednym pomieszczeniu jadły białe dzieci, a w drugim czarne. Białe dzieci jadły nożem i widelcem, czarne zaś otrzymały jedynie łyżkę, a w ogóle to jadły palcami. Białym dzieciom podawano jedzenie do stołu, czarne otrzymywały je przez wąskie okienko, które zaraz potem szybko zasuwano. Ciocie — pracownice urzędu gminy chciały, żeby się tak do nich zwracać — uzasadniały to tym, że Romowie nie potrafią posługiwać się sztucami i że podział pomaga uniknąć niepotrzebnych kłótni.

Kiedy spytałem o ten zwyczaj, Dezider miał akurat na sobie nieskazitelnie czysty czerwony pulower z napisem „Success Kids”. Bez złości i oburzenia potwierdził, że nie ma ani jednego przyjaciela wśród Białych, także w szkole. Ale dlaczego jecie w osobnej sali, a nie razem z innymi dziećmi, zapytałem go. Dezider był jednym z najinteligentniejszych chłopców, jakich kiedykolwiek spotkałem, i kiedy zwlekał przez chwilę z odpowiedzią, to nie ze względu na siebie, tylko na mnie. Czuł, że jego odpowiedź mnie zmartwi, rozzłości, ale nie znał żadnej innej, więc z ociąganiem, ale tak, jakby to było oczywiste, powiedział: — Bo jesteśmy tylko Romami.

Jeszcze w kilka lat po odkryciu przez międzynarodowe i krajowe organizacje humanitarne cygańskiej osady Svinia była miejscem, gdzie panował całkowity apartheid, obejmujący wszystkie obszary życia. Dzieci chodziły do różnych klas, jadły osobno, i nawet ksiądz, który czasem potrafił się przeciwstawić temu z ambony, ugiął się pod

naciskiem i wprowadził dwie msze niedzielne. Także na cmentarzu panował ścisły podział i nie zdarzyło się, żeby Rom, który pożegnał się z życiem, spoczął między Słowakami. Jak powiedział Craig, w całej wiosce były tylko trzy miejsca, gdzie spotykali się Biali i Czarni. Była to poczta, gdzie jedni i drudzy odbierali swoje wynagrodzenia, zasiłki i zapomogi, jedyny w Svini supermarket, który mógł przetrwać ekonomicznie tylko wtedy, kiedy wszyscy mieszkańcy robili w nim zakupy, oraz jedna z dwóch istniejących tutaj gospód, oczywiście ta o złej sławie, do której żaden porządny mieszkaniec wioski w zasadzie nie zaglądał, w której jednak, kiedy ta druga, odwiedzana przez porządných, była zamknięta, lądowało zawsze kilku Białych, nastawionych akurat na biesiadowanie. Wszystko poza tym było we wsi podwójne, tak że ludzie zamieszkujący tę samą miejscowość nie musieli się ze sobą spotykać. Oczywiście, chodzili tymi samymi ulicami, ale przyswoili sobie pewną technikę, która umożliwia im przebywanie blisko, a jednocześnie nieskończenie daleko od siebie. Chodzili tymi samymi ulicami, ale żyli na różnych planetach. Dlatego Białym wcale nie było trudno nic nie wiedzieć o Romach.

Mały katalog niezrozumiałych pytań:

Co będziesz robić za rok?

W jakich krajach byłeś?

Gdzie chciałbyś w przyszłości żyć?

Co będziesz robić za miesiąc?

Dokąd chciałbyś pojechać latem na urlop?

Co będziesz robić za tydzień?

Kim chciałbyś zostać?

Saša Mušinka studiował u Davida Scheffela, obecnie sam wykłada etnologię na uniwersytecie w Preszowie i jest słowackim kierownikiem „Svinia Project”. Opublikował szereg rozpraw i artykułów o kulturze i perspektywach europejskich Romów, szczególnie we wschodniej Słowacji.

Svinie opisał jako jednostkowy przypadek społeczności, która nie tylko cofnęła się w rozwoju, ale wręcz niejako wypadła z czasu. Wyjątkowość Svini wiąże się według niego z tym, że osada ta przez kilka dziesięcioleci najwyraźniej egzystowała niemal bez żadnego kontaktu z rzeczywistością zewnętrzną, jedynie dla siebie, jakby odcięta od świata, w przestrzeni wręcz eksterytorialnej.

Należy założyć, że Romowie ze Svini żyli kiedyś podobnie jak inni wędrowni czy osiadli Romowie w tym regionie. Najprawdopodobniej mieszkali pierwotnie w dwóch osadach poza obrębem słowackiej gminy, z których jedna, lepsza, leżała bliżej miejscowości i szosy, była więc widoczna i zamieszkała przez rodziny w większym stopniu wprzęgnięte w gospodarcze

i społeczne życie regionu. Niżej położona osada znajdowała się mniej więcej tam, gdzie obecna. Ta lepsza, wnioskując z planów jakiegoś dalekiego urzędu, a może pobliskiej gminy, została zlikwidowana. Jej mieszkańcy, którzy stanowili w Svini coś w rodzaju wykształconej elity romskiej, wyjechali, żeby szukać szczęścia gdzie indziej, albo we wschodniej Słowacji, albo w okręgach przemysłowych na północy Czech, i nikt nie wie, gdzie i jak żyją dzisiaj ich potomkowie, czy jako klienci instytucji opieki społecznej, czy może jako właściciele kawiarni w Bratysławie, albo też — bo emigrują najczęściej ci najlepiej wykształceni — są teraz metalowcami w Malmö albo muzykami w Dijon. Albo przenieśli się do niżej położonej osady, w której postawiono owe ozdoby uspołecznionego budownictwa mieszkaniowego, te murowane bloki, które jeszcze trzydzieści lat później miały się ostać powodzi.

W ten sposób wypędzono dawną elitę, zniszczono wspólnotę zorganizowaną według tradycyjnych reguł, tętniącą życiem osadę zrównano z ziemią, a liczącą kilkaset osób grupę ludzi zmuszono, by stała się niewidzialna: niżej położona osada zamieniła się w slumsy. Być może jedynym celem tych zarządzeń było usunięcie Romów z pola widzenia poprzez przeniesienie ich tam, gdzie będą niewidoczni z wioski i prawie niewidoczni z szosy. Niewiele więcej dało się ustalić, jeśli chodzi o historię dzisiejszych slumsów; nie wiadomo, skąd właściwie pochodzą osadnicy, ani kiedy i dlaczego osiedli w Svini, nawet nazwisk tych, którzy opuścili osadę, kiedy padła ofiarą postępu, próżno dziś szukać w miejscowych czy

okręgowych archiwach, nie mówiąc już o prześledzeniu dróg, które potem obrali. Przepadli i miało nie być żadnych śladów ich obecności ani ich zniknięcia.

Gdziekolwiek Romowie się osiedlają, biurokracja pilnuje skrupulatnie, żeby nie uzyskiwali żadnych podstaw do roszczeń majątkowych lub związanych z użytkowaniem nieruchomości. Nieliczni burgenlandzcy Romowie, którzy przeżyli hitlerowskie obozy zagłady i w 1945 roku wrócili do swoich wsi, zastali domy zniszczone albo zajęte przez gminę na cele komunalne. Żadnemu z austriackich Romów nie udało się odzyskać tego, co stanowiło wcześniej jego własność, obojętne, czy był to zwykły dom, czy znajdujące się w nim sprzęty, pamiątki rodzinne, narzędzia, czy sad albo wóz drabiniasty. Ich własność została zniszczona, rozgrabiona przez sąsiadów albo rozdzielona przez burmistrzów. Romowie z Burgenlandu nie mogli się nawet upominać o odszkodowania, bo tam, gdzie stały ich domy, w księgach gruntowych widniały tylko białe, niezabudowane powierzchnie, a ich łąki tak na nowych planach, jak prastarych mapach opisane były zawsze jako własność gminy. Ci, którzy splądrowali mieszkania i warsztaty deportowanych do obozów Romów, udzielali potem łaskawie tym, którzy przeżyli, kwater w stodołach albo rozpadających się szopach, gdzie Romowie mieszkali potem nieraz całe lata nieświadomi, jak mogą dochodzić swoich praw, często także niechętni temu, żeby występować o ich przywrócenie, bo życie nauczyło ich, że najpewniej przysporzyliby sobie w ten sposób tylko nowych udręk, nowych prześladowań...

Przed może pięćdziesięcioma laty świat zapomniał o cygańskiej wsi w Svini. Ktokolwiek miał dość siły, żeby otrząsnąć się z apatii, w której pogrążyła się osada, znikał. Byli to ludzie wyróżniający się szczególnymi zdolnościami w rzemiośle, w muzykowaniu, mający gdzieś krewnych, u których mogli się zatrzymać. Ci, którzy zostali, zapadli jakby w sen, a ich osada coraz bardziej wypadała z czasu — z czasu, który płynął i zmieniał świat. Czas w Svini, napisał Mušinka, w którymś momencie się zatrzymał i kiedy w latach dziewięćdziesiątych odkryto osadę na nowo, pierwsi przybysze, a byli nimi David Scheffel, Saša Mušinka, studenci i współpracownicy organizacji humanitarnych, stwierdzili ze zdziwieniem, że Romowie nie tylko zdawali się żyć w zupełnie innym czasie, lecz jakby także poza nim, że ich poczucie czasu w żadnym stopniu nie odpowiadało naszemu. Czy coś zdarzyło się przedwczoraj, czy w ubiegłym roku, zdawało się w ich odczuciu prawie jednakowo oddalone, nie potrafili też powiedzieć, w którym roku miały miejsce tak ważne sprawy jak narodziny, wesela czy zgony. Ostatnim wydarzeniem, w którym uczestniczyli razem z miejscowością Svinia i jej mieszkańcami, był mecz piłki nożnej, młodzi Romowie grali przeciwko klubowi ze Svini, i było to niedawno, może przed pięcioma albo przed piętnastoma laty, a w drugiej połowie meczu zaczęło padać.

Kiedy w 2002 roku rozgrywano w Korei i Japonii mistrzostwa świata w piłce nożnej, dla drużyny niemieckiej turniej nie miał początkowo pomyślnego przebiegu. Mecze były nudne, zwycięstwa wymęczone, gra w piłkę nożną zdawała się być jedną z tych rzeczy, których nie ogląda się dla przyjemności, tak jak nikt nie przygląda się dla przyjemności szlifowaniu papierem ściernym karoserii samochodu ani układaniu kanalizacji. Za oglądanie czegoś takiego też się zwykle nie płaci ani nie chce się oglądać tego w telewizji. Ponieważ nie było nic pocieszającego do zrelacjonowania, niemiecka gazeta „Bild-Zeitung” zamieściła reportaż z życia codziennego w tej okropnej Korei. Swoją miażdżącą opinię o skośnookich barbarzyńcach podsumowała stwierdzeniem, że trudno by było spodziewać się po nich czegoś lepszego, bo bądź co bądź Koreańczycy są nałogowymi psoźercami.

W Europejczyku, jadającym świnie, które tarzały się w błocie, kumkające nocami w stawach żaby, w których ukrywają się nieodczarowani książęta, kury, naszprycowane antybiotykami i na koniec dławiące się własnym

łajnem, wyprodukowanym w ogromnych wylęgarniach, w tym Europejczyku z jego wysoką kulturą spożywania mięsa idea, że ktoś mógłby jeść psy, wywołuje zgrozę. Ma to oczywiście związek z rolą psa, najlepszego przyjaciela człowieka, wiernego towarzysza, obrońcy własności, czasem boleśnie odgryzającego się przedmiotu pieśszot. Na skali odrazy psożerca sytuuje się tylko nieco powyżej kanibala, o którym ta sama gazeta kilka miesięcy później zmuszona była donieść, że pojawił się właśnie w samym środku spokojnego niemieckiego miasteczka i dał upust swojej dziwacznej żądzy.

System kastowy, który narodził się wraz z religią hinduistyczną, ale przeniknął także do innych religii południowej Azji, zna setki, prawdopodobnie nawet tysiące kast, pośród których kasta psożerców jest jedną z najniższych. Nie trzeba jeść psów, żeby do niej przynależć. To opinia czyni psożercę nieczystym i godnym pogardy aż po dziesiąte pokolenie i jako niedotykalnego wyklucza ze społeczeństwa. Wielomilionowa armia niedotykalnych rekrutuje się na mocy niezmienniej tradycji z wykluczonych i nieustannie odnawia, zasilana członkami różnych kast zawodowych, mających do czynienia z odpadami, praniem, a przede wszystkim z martwym ciałem, czy będą to przetwórcy padliny, palacze zwłok, pracownicy kostnic czy grabarze, co do których nie tylko wierzący hinduista jest przekonany, że pozostaną na zawsze nieczyści.

Za najniższą z najniższych kast zawodowych uchodzą gdzieś tam pracze, którzy piorą bieliznę niedotykalnych. Na ulicę wolno im wychodzić tylko nocą, bo już

sam ich widok czyni nieczystym tego, kto przypadkiem na nich spojrzy. Czasem pracze albo zamiatacze ulic muszą mieć przy sobie małą trąbkę, żeby uprzedzać o swoim zbliżaniu się i każdemu, kto nie chce ich spotkać, dać możliwość schowania się w bramie albo spuszczenia wzroku. W żadnej religii rytuały czystości nie są zewnętrznym dodatkiem, przypadkowym ornamentem, lecz prastarym dziedzictwem ludzkości, zakorzenionym blisko samego jądra religijności. Oczywiście, rytuały te ucywilizowały się dziś powszechnie i stały się czynnościami symbolicznymi, chyba że gdzieś religia czasów nowożytnych nawraca ku fundamentalistycznej przeszłości.

O sztywnych wyobrażeniach czystości i nieczystości opowiada w swoich nowelach z Ukrainy Zakarpackiej czeski pisarz Ivan Olbracht. Trzej amerykańsko-europejscy Słowacy, którzy oprowadzali mnie po swoim rodzinnym mieście, pokazali mi w Sвідniku także wspaniałe Muzeum Kultury Ukraińsko-Ruskiej, w którym Olbrachtowi poświęconych jest kilka gablot. Komunista od zarania, którego czescy towarzysze wykluczyli z partii już w roku jej założenia, interesował się niemal jako jedyny autor swojego pokolenia najdalej na wschód wysuniętą prowincją powstałą w 1918 roku Republiki Czechosłowackiej i we wczesnych latach trzydziestych odkrył ją dla siebie podczas licznych pobytów naukowych. Powieść *Nikoła Szuhaj zbójnik*, poświęconą legendarnemu ruskiemu bojownikowi o sprawiedliwość społeczną, przetłumaczono na kilkadziesiąt języków i wydano w setkach tysięcy egzemplarzy. Z kolei w swo-

ich opowiadaniach, których akcja toczy się na karpackiej wsi wśród chasydów, ukazał świat żydowski całkowicie odmienny od owego wyrafinowanego kulturalnie świata praskiej metropolii. Skrajnie ortodoksyjne gminy w tej górzystej okolicy były dla niego czymś w rodzaju teokracji, gdzie począwszy od mykwy, łaźni z jej rytualnymi przepisami, aż po sztywny podział pokarmów, jedyny sposób na uchronienie żywności przed tym, żeby nie stała się trefna, nieczysta, istniało mnóstwo reguł, których trudno było przestrzegać w codziennym życiu. A przecież tylko ten, kto się im poddał, jakkolwiek by to było uciążliwe, mógł uniknąć nieczystości, ta zaś była nieszczęściem, winą i zarazem najgorszą karą, jaka mogła spotkać człowieka na ziemi.

Wyobrażenie, że określeni ludzie są nieczyści, że przez kontakt z nimi człowiek również staje się nieczysty, że nawet ich widok brudzi, ma poza Europą i w Europie długą tradycję — i nabiera niekiedy także u nas zabawnej aktualności. W swoich pracach naukowych Saša Mušinka nie włożył praktyki spożywania psiego mięsa w całości między bajki i legendy. Jest przekonany, że istniały wspólnoty cygańskie, które rzeczywiście jadły psy, nie tyle zresztą z konieczności i nie na co dzień dla zaspokojenia głodu. Zjadanie psiego mięsa zajmowało określone miejsce w porządku czynności kultowych i miało szczególne znaczenie dla samoświadomości kulturowej tej grupy. Dziwnym trafem właśnie ten akt, który stygmatyzował nieliczne psożerne klany pośród ogółu Romów i uczynił je niedotykalnymi, jednocześnie umożliwił im szczególny kontakt z Białymi. Tłuszczu,

który wytapiał się w trakcie gotowania psiego mięsa, używano do wyrobu maści i lekarstw, którym wielu gadziów przypisywało cudowną moc uzdrowicielską. Choć odnoszono się do Cyganów z pogardą właśnie dlatego, że jedli psie mięso, wielu gadziów mimo przepełniającego ich obrzydzenia pielgrzymowało do nich nocą, żeby kupić drogą maść z psiego sadła, mającą im przywrócić męskość, wyleczyć żony z notorycznej bezpłodności albo złagodzić chroniczne bóle. Tak więc przyczyna pogardy dla psożerców była jednocześnie przedmiotem ich skrywanej dumy, a skrywana była ona na pewno, bo jakoś nikt nigdy nie słyszał, żeby Romowie zabili w obecności Białych psa i zjedli go.

Zwyczaj jedzenia psiego mięsa, który wolno było kultywować tylko w ramach specjalnych rytuałów i ceremonii, był tajemnicą, którą każdy znał, ale o której nikt nie mówił. Saša Mušinka przypuszcza, że minęło zapewne przeszło czterdzieści lat od chwili, kiedy romska społeczność po raz ostatni uczciła tę tradycję, a stało się to w czasach, kiedy większości żyjących dzisiaj Romów nie było jeszcze na świecie. Nieliczni starsi ludzie w Svini, garść pięćdziesięcio- i sześćdziesięciolatków, nie mają pozycji mędrców strzegących dawnej wiedzy, ważnej dla istnienia grupy. Przypuszczalnie więc nie ma już nikogo w Svini, kto by wiedział, jak to było z tym jedzeniem psów, i tak jak mieszkańcy osady nigdy nie rozmawialiby o tym z kimś obcym, tak zapewne nie rozmawiają również między sobą. Z wyjątkiem dwóch, trzech starców, którzy byli wtedy jeszcze dziećmi, z pewnością nikt z nich nigdy nie jadł psa ani nawet nie ma pojęcia, jakie

to miało kiedyś znaczenie. Ale każdy z nich pogodził się z tym, że po wieczne czasy będą nazywani *degesi*, psożercami, pogardzanymi i omijanymi przez Romów, których żaden gadź od nich nie odróżni.

Titus Horváth siedział daleko poza obrębem osady pod wystającym dachem remizy strażackiej, palił fajkę i rzeźbił. Był nie jedynym, ale prawdopodobnie najpracowitszym artystą w Svini. Rzeźbił charakterystyczne głowy ludzi i duchów, małe i większe zwierzęta, bransolety ozdobione fantastyczną zwierzęcą ornamentyką i kiedy już na tyle posunął się w swojej pracy, że do zestrugania pozostały jedynie drobne niedokładności, pracował leniwie, z wirtuozerią trzymając w jednej ręce i nóż, i rzeźbę. Jego dzieci jednak musiały podczas obiadu kroić mięso blaszaną łyżką, bo miłe ciotce były przekonane, że romskie dzieci nie potrafią posługiwać się nożem.

Zapytałem, dlaczego tutaj siedzi, a właściwie kuca, na co odpowiedział z pogardą, że tam, w osadzie, jest o wiele za głośno. Był piękny wiosenny dzień, zimno, które na Wielkanoc powróciło wraz z dokuczliwym wiatrem, gradobiciem i ponuro zachmurzonym niebem, zdawało się być ostatecznie przewyciężone i w osadzie już w południe działało się dość dużo. W pobliżu szosy stało kilku wyrostków, którzy podawali sobie małą plastiko-

wą torebkę, energicznie wachając jej zawartość. Nieco dalej, przy drodze dojazdowej, ćwiczył breakdancer. Raz po raz wyskakiwał w górę, po czym, opadając, robił szpagat, z którego katapultował się, przyjmując pozycję umożliwiającą mu obrócenie się z małą zręcznością wokół siebie. Zaledwie kilka metrów od niego swojemu ulubionemu zajęciu oddawał się z samozaparciem niekoronowany mistrz świata w żonglerce piłką. Miał może szesnaście lat i skórzaną piłkę, którą całymi godzinami mógł podbijać na zmianę raz prawą, raz lewą nogą, udami, głową i obydwoma ramionami, nie dopuszczając ani razu do jej upadku na ziemię. Czasem był boso, dzisiaj miał na nogach dwa różne buty, sportowy marki Adidas na prawej i brązowy półbut na lewej, mógł przy tym rozmawiać, witać się, podać mi rękę, nie przerywając swoich czarów. Rozglądający się za narybkiem agenci słowackich związków sportowych nie wpadli jeszcze na to, jakie talenty mogliby odkryć w romskich osiedlach i wspierając je, przyczynić się do rozsławienia słowackiego sportu w świecie, dając jednocześnie Romom szansę społecznej integracji. Mój mistrz świata w żonglerce piłką nie znalazł żadnego klubu futbolowego, w którym mógłby zabłysnąć swoimi sztuczkami, breakdancer żadnego klubu gimnastycznego, który zapewniłby mu trenera i udział w zawodach. Nawet sport, który skrzywdzeni przez społeczeństwo często potrafią wykorzystać jako szansę wybicia się, jest dla Romów dziedziną niedostępną.

U wejścia do osady trzech chłopaków fachowo przybijało deski na dachu jednego z domów. Na mój widok

podnieśli się triumfalnie, napięli muskuły, udając osiłków, i oklaskiwani przez wszystkich wokół za swoją autoironiczną prezentację zawołali: — Widzisz, jesteśmy pracującymi Romami!

Z tą pracą to była lekka przesada, bo ostatnie sondaże urzędu pracy wykazały, że bezrobocie w Svini wynosi równo sto procent. Od kilku lat istniał obowiązek uczęszczania do szkoły i coraz więcej słowackich pedagogów, a niekiedy także dyrektorów szkół, protestowało przeciwko oczywistej segregacji, zwyczajowemu spychaniu romskich dzieci do szkół i klas specjalnych. Wspierane przez kanadyjską fundację na rzecz rozwoju, działało w osadzie także przedszkole, w którym mówiono zarówno w języku romani, jak i po słowacku, tak że większość dzieci, kiedy szła do szkoły, mogła od razu uczestniczyć w lekcjach prowadzonych w tym języku. Chociaż wydawało się, że sytuacja w szkolnictwie od paru lat powoli się poprawia, to jednak po ukończeniu podstawówki miejscowa młodzież wystawała na ulicach tak samo jak ojcowie, z których wielu nie potrafiło ani czytać, ani pisać.

Teraz jednak, w samym środku dnia, wszyscy pracowali. Przed domem, którego dach właśnie naprawiano, sześciu młodych mężczyzn uwijało się przy samochodzie, który gdzie indziej dawno wylądowałby na złomowisku. W warsztacie w domu z klonem trzech dorosłych łało świece z wosku, które były kupowane przez nieliczne w tym regionie restauracje, ale przeważającą ich część sprzedawano w Kanadzie. Także kilka kobiet, które szyły torby z materiału i zdobiły je, każda według własnego

uznania, oddawało się w skupieniu swojej pracy. W kurzu wylegiwało się kilka zmierzwionych psów, które dzieci na zmianę to brały na ręce, przytulały do serca, nosiły, to przepędzały zamarkowanym kopniakiem, kiedy pieski wchodziły im w drogę, przyjazne zwierzęta, z wyjątkiem jednego, siedzącego z boku w dużej klatce i najwidoczniej wytresowanego do pilnowania złożonych tam desek. Tego dnia wcale nie było tu tak głośno, jak mówił Titus, raczej pracowicie i ruchliwie. — Musisz kiedyś przyjechać latem — powiedziała Martina — wtedy bywa tu często naprawdę nastrojowo. Wiezorami, kiedy robi się ciemno, ludzie stawiają w oknach świece, czasem gra jakiś zespół i przed północą nikt nie kładzie się spać.

W czasie jednej z moich pierwszych wizyt, kiedy rozmawiałem z młodym Słowakiem, kierownikiem warsztatu wytwarzającego artykuły z wosku, podszedł do nas niespiesznie wysoki, postawny mężczyzna z gęstą kędzierzawą czupryną, długo mi się przyglądał, wreszcie życzliwie skinął głową, ale bez tej nieraz przesadnej, zaborczej uprzejmości, właściwej tutaj nie tylko dzieciom. Jego muskularne ręce były aż po końce palców wytatuowane i sprawiały wrażenie, że potrafią mocno ścisnąć, nosić ciężary, w razie kłótni odepchnąć łobuzów. Ale to były ręce gitarzysty. Ignác Cervenák był gitarzystą i piosenkarzem zespołu Čores Romale, który utworzyli członkowie rodzin Cervenák, Holub, Čikala i Ginová i teraz od kilku lat występowali razem. Zwróciło moją uwagę, że pod rozpiętym kołnierzykiem koszuli ma wytatuowaną również szyję, i kiedy spostrzegł, że zerkam w tamtą stronę, odpiął dwa guziki i odciągnął

kołnierzyk, żebym mógł przeczytać niebiesko-czarny napis, otulający mu szyję jak kryza: „L’úbim t’a”.

Kilka lat temu Ignác, który zarabiał, grając w gospodach, ścigany przez grupę skinów został przez nich złapany i pobity. Wytatuował sobie potem na szyi, na powitanie wszystkich bez wyjątku, wyznanie „Kocham cię”. Wyglądał na silnego mężczyznę, którego lepiej nie drażnić, ale napisał sobie na skórze, że kocha nawet swoich wrogów, a zrobił to w nadziei, że w ten sposób wzbudzi może w skinach, tu i ówdzie na Słowacji urządzających polowania na Romów, cięń braterskich uczuć, bo przecież wypalił to sobie na skórze w ich, a nie w swojej mowie, po słowacku, a nie w języku romani.

Ignác Cervenák był poważanym przez wszystkich miejscowym vajdą, do którego zwracano się, kiedy trzeba było zażegnać jakiś spór, i z którym powinien rozmawiać każdy obcy, który zamierzał pozostać w osadzie dłużej niż chwilę. Dziś vajda nie ma już takiej pozycji jak niegdysiejsi przywódcy klanów, tradycyjna kultura dawno się przecież rozpadła, ale ten tutaj promieniował spokojem i godnością, które pozwalały mi się domyślać, kim musiał być kiedyś vajda i jakie znaczenie mógł mieć ten człowiek jeszcze i teraz dla mieszkańców osady. Już za pierwszym razem przyniósł mi kasetę, nagraną przez jego zespół w studio w Preszowie, z melodyjnymi, utrzymanymi w tradycyjnym rytmie, w partiach solowych gitary zatrącającymi o jazz piosenkami, których wykonawczyni śpiewały o trudzie i szczęściu bycia Romem. Nie wchodziło w ogóle w rachubę, żebym zapłacił za kasetę — Ignác dał mi to do zrozumienia za pomocą

oszczędnych, mających jednak swoją wagę gestów. Teraz, w południe, z jednego z mieszkań dobiegły mnie dźwięki gitary — dwaj gitarzyści uczyli się najwidoczniej nowej piosenki albo dopiero ją tworzyli.

W tym momencie, mając przed sobą stukających młotkami dekarzy i młodych mężczyzn dłubiących przy wraku samochodu, wydało mi się, że na głównym placu, na którym wyschły kałuże i z którego prawie całkowicie usunięto śmieci, czas się zatrzymał. Czas jakby się zatrzymał, chociaż to, co miałem przed sobą, nie było obrazem drętwy, kilka młodych matek z niemowlętami szło do studni. Z oddali, od strony wsi, gdzie stała szkoła, doszły mnie rozbawione nawoływania i okrzyki uczniów biegnących do domu i w tej samej chwili pomyślałem o mojej córce Milenie, która daleko stąd, w innym świecie, może właśnie wracała ze szkoły. Ogarnęła mnie nagle tak przemożna chęć, żeby ją zobaczyć, porozmawiać z nią, wrócić do jej, do mojego świata, że prawie zaparło mi dech w piersiach.

Wyrwałem się z tego obrazu bezruchu i wyszedłem naprzeciw wracającym do domu dzieciom, które, jak to miały w zwyczaju, zaraz mnie zapytały, kiedy znowu przyjadę, a ja powiedziałem, że może w przyszłym roku, na co Dezider, najprzebieglejszy z nich, zawołał zaraz z udawanym smutkiem: — Co, dopiero w przyszłym roku? Ale one były zawsze smutne, kiedy ktoś opuszczał ich slumsy, odprowadzały go wtedy, jak daleko było im wolno, a wiadomość, że ktoś wróci może w przyszłym roku, brzmiała w ich uszach z pewnością tak samo jak ta, że na pewno wpadnie w przyszłym tygodniu.

Ale wieczorem w hotelu, kiedy porządkowałem zeszyty, notatniki, zapiski, mapy, książki i pakowałem się przed wyjazdem do Popradu, skąd miałem pociąg do Bratysławy, znalazłem w wiatrówce, w której chodziłem przez cały dzień, zardzewiałą sprzączkę do paska, niebieską plastikową spinkę do włosów, zwitek papieru i kawałek kredy. Kiedy ktoś odchodził, psożercy ze Svini mieli zwyczaj szmuglowania czegoś w jego bagażu. Nie był to jednak prezent ani żadna pamiątka. Chcieli, żeby coś od nich poszło w świat, o którym nic nie wiedzieli, i połączyło ich z tym światem, który robił wszystko, żeby trzymać ich od siebie z daleka. Czyli jednak wiedzieli, kiedy ich opuszczałem, że „może” oznacza coś innego niż „na pewno” i że przyszedł rok, jak na razie, nie zacznie się w następnym tygodniu.

PODZIĘKOWANIE

W okresie od 2001 do 2003 roku wielokrotnie podróżowałem po Słowacji, zwłaszcza po jej wschodniej części. Przeważnie towarzyszył mi jako przyjaciel, kierowca i fotograf Kurt Kaindl, z którym już od lat przemierzam Europę.

Wiele osób wspierało mnie w mojej pracy cennymi wskazówkami, osobistym pośrednictwem, pomocną radą i czynem. Szczególnie dziękuję Gabrieli Matzner i Walterowi Persche, do 2002 roku austriackiej ambasador w Bratysławie i attaché kulturalnemu tamże; pani mgr Gerhildzie Kronberger, lektorze na uniwersytecie w Koszycach, która zdobyła ważne dla moich poszukiwań adresy i numery telefonów; Marii Poirot w Koszycach, Craigowi Johnsonowi i Martinie Temkovitzovej w Svini. Nieocenionych informacji dostarczyły mi „Rómske listy”, ukazujący się dwa razy w miesiącu dodatek do tygodnika „Domino fórum”, wydawany przez Krístinę Magdolenovą. Wiele z publikowanych tam artykułów dostępnych jest także w Internecie pod www.romskelisty.sk, wśród nich artykuł o Svini, którego autorem jest Saša Mušinka.

W Internecie można też znaleźć adresy wielu romskich organizacji humanitarnych, jak www.informa.sk, które rozpowszechniają swoje informacje częściowo w języku angielskim, wśród nich dane statystyczne, relacje o aktualnych wydarzeniach, adresy grup samopomocy i ośrodków badawczych.

WYDAWNICTWO CZARNE S.C.

www.czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Łukasiewicza 8, II p., 38-300 Gorlice
tel./fax +48 18 353 58 93, e-mail: lukasz@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa
tel./fax +48 18 351 02 78, tel. +48 18 351 00 70
e-mail: redakcja@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Jaracza 6/5, 00-378 Warszawa
tel./fax +48 22 621 10 48
e-mail: katarzyna@czarne.com.pl, krystyna@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: Beata Motyl, MTM Firma, ul. Zwrotnicza 6
01-219 Warszawa, tel./fax +48 22 632 83 74
e-mail: mtm-motyl@wp.pl

Skład komputerowy: ROBERT OLEŚ — DESIGN PLUS
ul. Morsztynowska 4/7, 31-029 Kraków, tel. 012 432 08 52

Druk i oprawa: OPOLGRAF SA
ul. Niedziałkowskiego 8/12, 45-085 Opole, tel. 077 454 52 44

Wołowiec 2005

Wydanie I

Ark. wyd. 4; ark. druk. 8

Najnowsza książka znakomitego austriackiego eseisty Karla-Markusa Gaußa *Psożercy ze Svini*, to rodzaj literackiego reportażu poświęconego słowackim Romom, a przede wszystkim ich najniższej kasty zwanej *degesi* (psożercy). Gauß dotarł do miejsc, do których w Słowacji się nie zagłąda: do Luníka IX — największego cygańskiego getta leżącego zaledwie dziesięć minut jazdy od centrum Koszyc i do maleńkiej osady Svinia we wschodniej, najbiedniejszej części Słowacji. I tu, i tam slumsy otacza niewidzialny mur, który rozdziela dwa zupełnie różne światy. Świat po tamtej stronie jest dla nas całkowicie obcy.

Ale nie tylko Romowie są zbiorowym bohaterem *Psożerców*. Po mistrzowsku portretując ich życie, rysuje przed czytelnikami Gauß zarazem frapujący obraz współczesnej Słowacji — kraju bliskiego nam, a przecież zaskakująco mało znanego.

Opowieść austriackiego eseisty Karla-Markusa Gaußa pokazuje, kto tak naprawdę jest pariasem Unii Europejskiej. To Romowie. Przedtem dyskryminowało ich własne państwo. Teraz romskiej tradycji, żywiołowości i płodności boi się Bruksela. Ludzie, jakich spotyka Gauß na Słowacji, dają jednak nadzieję, że zawsze będą tacy, którzy nie pogodzą się z apartheidem w swoim sąsiedztwie.

Lidia Ostałowska

Slumsy są tuż obok, ale ich się nie widzi. Austriacki pisarz przekracza ich niewidzialność i wkracza do romskich osiedli na Słowacji. Atakują go brudem, fetorem i zarazem pogodą życia. Odkrywa lud mieszkający tuż obok nas, którego się boimy, unikamy. Jest przewodnikiem obdarzonym poczuciem humoru, zmysłem obserwacji i delikatnością słowa. Oswaja dla nas tę obcość, oswaja nas z bezradnością lokalnych administracji, programów humanitarnych. Nie poucza, nie pociesza. Po prostu pokazuje, z wyjątkowym talentem i rzetelnością, usunięty poza czas, poza zasięg wzroku, wrażliwości, poza prawo — nasz europejski trzeci świat.

Paweł Śpiewak



TYGODNIK POWSZECHNY

PRZEGLĄD
POLITYCZNY



Cena 28 zł

